

Książnica Zamojska



10184580

ul. Kamienna 20

22 - 400 Zamość



ZOŚKA



TEJŻE AUTORKI OSOBNO WYDANE RZECZY :

1. MIRAŻE, powieść. Warszawa 1900, wydanie II.
Warszawa 1908 (Wyczerpane).
2. ŻYCIE, powieść. Warszawa 1906 (Wyczerpane).
3. PAMIĘTNIK. Warszawa 1907.
4. OBRAZKI REWOLUCYJNE Stanisławów 1907.
5. UCZCIWA KOBIETA i inne nowele. Warszawa 1911.
6. NAD ARNEM I SEKWANA, powieść. Warszawa 1919.
7. NIEBEZPIECZNY WIEK MĘŻCZYZNY, powieść.
Wilno 1921.
8. WŁADCA, powieść. Warszawa 1925.

CECYLJA MARION

ZOŚKA

POWIEŚĆ



ZAMOŚĆ

ZYGMUNT POMARAŃSKI I SPÓŁKA
ODDZIAŁY: W WARSZAWIE, KRASNYSTAWIE I WŁODZIMIERZU

PRAWO PRZEDRUKU I PRZEKŁADU ZASTRZEŻONE.
COPYRIGHT BY ZYGMUNT POMARAŃSKI I SPÓŁKA ZAMOŚĆ
NINETEEN HUNDRET TWENTY FIVE



72
821.162.1-3

VII. 1925
Z Drukarni Narodowej w Krakowie

I.

Zośka siedzi nad rowem i śpiewa na całe gardło:
„Oj dana, dana, dana!“

Zośka ma lat dziesięć, grube łydki, jeszcze grubszy warkocz koloru lnu, wiecznie rozczochrany. Siedzi nad rowem i pasie prosiaki matczyne. Jest najmłodsza z dziesięciorga rodzeństwa. Starsi chodzą do fabryki na robotę; jej przypada zajęcie mniej trudne, ale nader odpowiedzialne. Nuż się prosiakom zwidzi znowu wejść w proso pana wagowego... Oj, oj, jeszcze ją dziś plecy bolą od upomnień ojcowskich z zeszłego tygodnia.

Przechodzi pan felczer i uśmiecha się:

— Co robisz, Zośka?

— A dyć świnioki pasę.

— Nie umiesz odpowiadać po ludzku, wstać, dygnąć. Nie nauczyli cię tego w szkole, ej, ty klocek!

Z upodobaniem bierze w dwa palce jędrny policzek Zośki.

— Czemu nie idziesz do szkoły?

— A dyć chodzę, rano.

— „A dyć“. Naucz się mówić jak panna: „chodzę

co rano, proszę pana“. Przyjdź do mnie, pobawisz dzieci, pani ci da jaką sukienkę.

Odchodzi. Zośka patrzy za nim i zaczyna znów z innego tonu: „Oj danaż moja, dana!“

Cięgiem ją wszyscy gnają do tej szkoły: pan felczer, pan pisarz, pan wagowy... niby to nie wszystko jedno, czy pasie prosiaki ojcowskie tutaj, czy prosiaki pani nauczycielowej w szkole. Od trzech lat jak chodzi do szkoły gminnej, nauczyła się już na książce, ale z „pisanem“ wciąż idzie opornie. Prawda, że na sześć dni szkolnych pan nauczyciel przez pięć jest zajęty sianiem, oraniem, żniwami, młóceniem i wszelkimi innymi robotami, związanymi z sezonem na swem pólku. Zastępuje go najlepszy uczeń, żółty Józek, bardzo uczony, jak pokazuje co na tablicy, to nic z tego wymiarować nie można.

Zośka odchyła w tył głowę, patrzy w słońce i w dół od niego na widnokrąg. Okolica płaska, niebieskawa prawie w tumanie kurzu; kołem lasy sine aż do chmur za Wisłą. Na gruszy polnej wilga drze się zawięcie. Żeby tak ją dostać. Stasiek by ją dostał...

— A gdzie, a gdzie, malu, malu!

Prosięta zbliżyły się do zakazanych dziedzin. Rychtyg zawdy muszą tam leżeć, gdzie nie wolno. Uczy je rozumu prętem: „Tu chodźta, zatracone, tu chodźta! Tyle rumianków, pachną — białe... Tyle, tyle...“

Białe rumianki,
 Chodźta na wianki,
 Do mego wiana.
 Oj dana, dana!

Jak to się samo składa. Niewiada skąd przychodzi i tak się utrafia.

Z powietrza, z dnia słonecznego...

Słońce pochyła się powoli i zaczyna zasuwać za krawędź lasu.

Sosny są widmowo czarne na tle szkarłatnem. Nietoperze krążą dokoła.

Zośka podnosi się z rowu. Boi się. Niewiada czego. Może psa wściekłego, co latał łośńskiego roku. Dla otuchy zaczyna znów: „dana moja, dana!“, ale melodia płynie żalosna i przejmuje ją strachem. Popędza ociągające się prosiaki i zbiera dokoła siebie sukieneczyny, aby jej „coś“ nie przyłapało.

W domu gotują się kartofle. Wszyscy już wrócili: ojciec, matka, dziewięcioro rodzeństwa i ciotka. Ciotka nie jest żadną krewną, tylko chrzestną Zośki: dzięki temu ma nad nią władzę nieograniczoną i prawo poszturchiwania, ile jej się tylko podoba.

Rodzina zajmuje z łaski władzy fabrycznej pokój, o powierzchni ośmiu łokci kwadratowych. Stoją w nim trzy łóżka: rodzicielskie, ciotczyne i starszych siostr. Reszta mieści się gdzie popadnie: na kominie, na workach, pod stołem. Tak lokowani są wszyscy robotnicy. Niektórym dodają jeszcze „pojedynka“, t. j.

kawalera, który stołuje się w domu. Koniuch, ojciec Zośki, dzięki protekcji ciotki, która jest w łaskach pańskich, ma „stancję“ na wyłączny użytek swej rodziny.

Zośka zjadła ze smakiem miskę kartofli i ogórków. Zjadłaby dwa razy tyle, ale matka nie da: tyle gąb do michy, skąd im nastarczyć?

Po wieczerzy zasypia szczęśliwie w swym kąciku pod stołem. Starsze siostry: Mańka, Polka i Janka szepczą coś ze sobą. Wiadomo, o chłopcach. Poleciałyby nad stawy, przy księżycu, ale ojciec nie żartuje z moralnością. Ma pięść jak z żelaza.

Zośka nie interesuje się temi szeptami. Nie trapi się niczem. Żeby ino tyle muchów nie było... i wszy też dokuczają, ale można się przyzwyczaić. I ani spostrzega, jak przelatuje nocka i ciotka, drepcząca po stancji, ciągnie ją za ucho:

— Wstawajże, walkoni, trzeba krowę wydoić. Ty, tobyś spała i spała, choćby do południa.

Pani dziedziczka z Osin postanowiła zorganizować chóry do kościoła.

— Jest tu w okolicy jedna dziewczucha, proszę jaśnie pani dziedziczki, co ma głos jak trąba — zarportował felczer. — Jak śpiewa, to aż mury się trzęsą.

— Przyślij mi ją pan, mój panie Łąkowski!

Wymyło i wyczesano Zośkę, pani felczerowa ofiarowała jej dawno obiecaną spódnicę, podpiętą

fantastycznie i z dwiema tylko dziurami. Pan felczer, ponadto, uczynił dar z błękitnej wstążki do włosów, w sekrecie przed żoną.

W rynsztunku odświętnym, czerwona i spocona, ruszyła Zośka do Osin, trzymając w ręku parę butów, które wzuć miała dopiero przed pałacem. Zatrzymała się przy kuchniach.

— Czego tu, dziewczucha?

— Do pani dziedziczki.

— O, do pani dziedziczki, widzicie ją: myślisz, że do pani dziedziczki wchodzi się jak do chlewa?

Kuchciki zaczęli podżartowywać z niej: gdzie kupiła te policzki, pełne jak buły?

Kucharz krzyknął zły:

— Przestaniecie tam paplać? Ej, dziewczucha, zbieraj się i poszła! żebym ci czego nie przyłożył.

Na szczęście przeszła szafarka, pani Wrońska, już gdy Zośka miała wracać do domu, nie zrobiwszy karjery.

— Toś ty dziewczyna z Woli Gałęskiej, co pan Łąkowski przysłał? Dobrze, dobrze.

Zośka pocałowała ją w rękę. Pocałowała następnie w rękę dwie czy trzy stare panny, piastujące nieokreślone urzędy przy dworze. Kazano jej czekać w garderobie, aż pani dziedziczka ją zawoła.

Czekała cierpliwie.

Jedyne okno pokoju wychodziło na gazony, obrze-

żone różami sztamowemi. Róże kwitły właśnie. Były białe i herbaciane i różowe i szkarłatne...

Oj róże, róże,
Jakie wy duże,
Jakie czerwone,
Dla Zośki, dla Zośki, na koronę...

Słowa te plątały się na ustach Zośki, ale oczywiście nie pozwalała im wyrzec na światło dzienne. Dla pewności zatkała sobie gębę, bo jakby ją sparło, toby zaraz zaczęła śpiewać, zapominając, że jest w pałacu, a nie w rowie ze świniakami.

Po trawnikach gonila się panienka z paniczem. Panienka była w jej wieku, panicz o parę lat starszy. Grali w piłkę.

— Patrzaj, Adaś, jak ta dziewczyna w garderobie gapi się na nas.

Adaś zmrużył oko, zamierzył się, wycelował — i piłka wycięła Zośkę w lewy policzek.

— Ha, ha, ha! jaką ona minę zrobiła!

— Trafilem, co? O, jak ja wyceluję!

Nareszcie pani dziedziczka przypomniała sobie o Zośce.

— A czysta ona aby, moja kochana Wrońsiu?

— Felczerowa mi się kleła, że ją wymyła i wyczesała.

— To ją zawołaj, moja Wrońsiu.

Salon wydał się Zośce jak kościół. Nic piękniejszego wymarzyć sobie nie mogła. Myślała nawet, że

może już umarła i jest w niebie. Objęła panią dzie-dziczkę za nogi i ucałowała żarliwie kraj jej sukni. Jak ślicznie pachnie suknia jedwabna pani dzie-dziczki: rychtyg jak róże na gazonie!

Przy fortepianie stał piękny pan o wyniosłej posta-wie i patrzył na Zośkę.

— Słuchaj uważnie moja dziewczynko; jak ci na imię?

— Zośka.

— Ja uderzę klawisz, a ty powtórzysz za mną ton, to jest, zaśpiewasz a, a, a. Zrozumiałaś?

— Zrozumiałam, proszę jaśnie pana.

Pan uderzył w klawisz i Zośka zaśpiewała. Potem kazał jej śpiewać pasaże, pięciopalcówki. Zośka drża-ła z ekstazy. Ach, jak fortepian śpiewa: piękniej niż organy w kościele, tak chyba, jak anioły w niebie:

— *Eh bien, mon cher maître?*

— Nadzwyczajny słuch i głos fenomenalny. Ile masz lat, Zosiu?

— Jedenaście.

— Ta dziewczyna jest cała muzyką. Szkoda jej do chóru. Niech jej pani da partję solową.

— Niepodobna. Nie zna nut.

— Weźmie słuchem. Zresztą, dopóki tu jestem, spróbuję ją uczyć.

Przez dwa tygodnie mistrz biedził się z Zośką nad arkanami nut ćwierciowych, raz i dwa razy wiązanych. Szło z początku nieco opornie, ile że

wiadomości jej z dziedziny liczb były raczej mgliste. Przebrnęła to jakoś. Potem mistrz wyjechał. Pani dziedziczka próbowała kontynuować lekcje, ale prędko zrezygnowała. Zastąpił ją organista. Chóry się zorganizowały i Zośka śpiewała partję solową w kościele w obliczu Pana Boga i mnóstwa dziedziców i dziedziczek. Podniosło to ją i całą rodzinę Koniuchów w opinji ogółu. Pomyślcie tylko, Zośka, ten walkoń, śpiewała w kościele! Dopieroż będzie nosa zadzierała!

Potem przyszła zima, pani dziedziczka wyjechała daleko, do ciepłych krajów, paru chłopców wzięto do wojska, parę dziewczyn wyszło za mąż, i chóry się rozprzegły.

Mańka, najstarsza siostra, pojechała do Warszawy, gdzie dostała się do fabryki gorsetów. Przysłała Zośce gorset prawie nowy, prawdziwy gorset, z fiszbinami, w którym ma się figurę jak panna!

Teraz Zośka ma warkocze prawie zawsze uczesane i ułożone dokoła głowy *à la vierge*, jak widziała jaśnie panienkę. Zdobyła — niewiedomo gdzie — kawałek lusterka, dwie wstążki i złamany grzebień, i wszystkie te skarby chowa pod szafą, w pudełku od cygar, pudełku, które pani felczerowa miała wyrzucić na śmiecie, ale w przystępie szczodrobliwości uczyniła z niego dar Zośce.

Od czasu do czasu, wezwana przez felczerową,

przychodzi do niej, by pomagać w gospodarstwie lub niańczyć dzieci. Tam tak ładnie, no, nie tak jak w pałacu, ale zawsze przestronniej niż w domu, i robactwo nie kąsa, i nikt po łbie nie wali. Lubiłaby tam chodzić, gdyby nie pan felczer. Tak ją ciągiem szczypie w policzki i tak wciąż pyta, kiedy da na zapowiedzie.

„Ciągiem“. Znowu powiedziała ciągiem, a przecież wie, że się mówi „ciągle“.

Wprawiała się teraz w pisane i przesyłabizowała całe *Ogniem i mieczem*, które jej dał wielbiciel.

Bo Zośka ma wielbiciela. Młody robotnik przy elektryczności, „elekstryk“. Przyjechał z Warszawy. W niedzielę nosi popielaty garnitur i zegarek z łańcuszkiem. Co rano, idąc do fabryki, przechodzi koło ich czworaka. Zośka stoi w ogródku i podlewa włośzczyznę. „Dzień dobry pannie Zofji“. „Dzień dobry panu Stanisławowi“. Wieczorem wychodzi z fabryki: „Dobry wieczór pannie Zofji“. Zdejmuje nisko czapkę, jak to czynią panowie.

Zośka, objąwszy się wpół z siostrami lub rówieśnicami, spaceruje po gościńcu lub nad stawami. Pan Stanisław, ilekroć je zobaczy, wybiega i kręci się zawsze tak, aby iść obok niej. „Budzę panią“. „W kolorze?“ pyta Polka, a Zośka dodaje z mdlejącem spojrzeniem: „Ach, niech pan mnie nie budzi. Chcę spać“!

— Dlaczego spać?

— Aby mieć sny ładne.

— Ach, ta Zośka! — wybuchają śmiechem dziewczęta, a pan Stanisław zachodzi od tyłu i znów znajduje się koło Zośki.

— O czym pani śni? Czy wolno wiedzieć?

Rozmawiają długo. Szczęście, że teraz dni długie, o dziewiątej jeszcze widno, bo za ledwo zmierzcha, ojciec woła do domu. Niech sobie spacerują inne; on swoim córkom nie pozwoli latać po nocach. Więc, przez płot w ogródku, Zośka zamienia ostatnie słówka z panem Stanisławem:

— Dobranoc panu...

— Dobranoc pannie Zofji, przyjemnych snów.

Wbiega prędko do izby, bo ojciec nie lubi tych rozmów, a ciotka mruczy:

— Nie lepiej to pacierze mówić, niż klepać głupstwa z chłopami!

W niedzielę przychodzi kum Serocki, na pogawędkę.

Matka go nie lubi, bo pijus, jeszcze chłopców na złą drogę naprowadzi, ale młode pokolenie przepada za nim: wykpis taki, wszystkich prześmiewa. Pola trzyma się za boki:

— Oj, co też pan Serocki wymyśli!

Pcha go na szafę, on ją łapie, gdzie może. Wszyscy

się śmieją, nawet ciotka, nawet surowy ojciec. Zośka śmieje się powściągliwie: nie lubi tych poufałości.

Pan Stanisław skończył robotę przy elektryce i wrócił do Warszawy. Przysłał Zośce piękną pocztówkę z gałązką niezapominajek, trzymaną przez dwie ręce złączone. Nie odpisała. Gdzie znaleźć pióro i atrament? A potem kupno papieru, marki, oddanie listu pocztarkowi, który jedzie do miasta, to są czynności zbyt skomplikowane, którym nie może podolać.

W fabryce wre teraz kampanja.

Słodki odór buraków rozlewa się po całej okolicy. Warkot i gwizdki przecinają powietrze. Zośka zaniósła wieczerzę braciom na zmianę nocną i wraca z pustemi dwojakami. Ugięła się, bo błoto.

Mijają ją dwa cienie, zatulone w burki. Przystają, oglądają się za nią.

— Jak to wyrosła ta Koniuchówna. Ładna dziewczucha dalibóg. Hej, Zośka, Zośka, nie uciekaj, nie zjem cię! Dokąd ci tak pilno, hej?

— Idę do domu, bo ojciec nie lubi, żebyśmy chodziła po nocach.

— Biję cię ojciec, co?

— Da kułaka, jak popadnie...

— Dałbym i ja ci kułaka, oj jej! Słuchaj, Zośka, a czemu nie przychodzisz do nas, co? Nie łaska już dzieci niańczyć, co? panna się zrobiła, gorset nosi, suszy zęby do chłopców...

Zośka ucieka zarumieniona. Słyszy za sobą śmiech... Ach, jacy to... zaczepiają, gdzie tylko dopadną.

Wraca do domu smutna. Tak jej się cni. Rozczuła się nad sobą, sama nie wie, kiedy zaczyna zawodzić:

Biedne, o biedne ja dziecię,
Smutno mi, smutno na świecie...
Weźcie mię gwiazdki przejasne,
Niech pójdę do was, niech zgasnę...

Śpiewałaby tak w zapamiętaniu bez końca, ale matka i ciotka i siostry krzyczą:

—Już znowu rozpuściła gębę. Cicho! Zośka, bo głowa pęka!

Pewnego dnia szła z lasu, dźwigając pęk chrustu. Na drodze minęły ją dwa wierzchowce, a na nich młody pan i młoda panna. Z tyłu za nimi jechał żółty Józiek Wojciechoszczak, przerobiony na masztalerza. Mrugnął ku niej poufale. Zośka poznała odrazu panienkę z Osin i tego panicza, co ją piłką wyciął w policzek.

Już pozostała kawałek w tyle, gdy usłyszała srebrny głosik:

- Dziewczynko, jak się nazywasz?
- Zośka Koniuchówna, proszę panienki.
- Czy to ty śpiewałaś u nas w kościele?
- Ja, proszę łaski jaśnie panienki.

— Ładna dziewczyna — orzekł młody panicz.

W parę dni później żółty Józiek zaczął Koniucha:

— Nie dalibyście waszej Zośki do nas na służbę?

— Niby do dworu?

— Juści. Szukają pokojówki, już dwa tygodnie, i nie mogą utrafić pani dziedzicze po myśli. Jagiem zobaczył waszą Zośkę, zarazem pomyślał, że to byłoby akurat dla niej.

— A no, jak tam matka powie.

Matka spytała:

— A zasługi duże?

— Duże. Czterdzieści rubli na rok i prezenty i odjezdne. Gości zawsze huk. Marjanna, co odeszła, zebrała dwa pełne kufry przyodziewku i pościel i zegarek z łańcuszkiem.

Zośce było trochę markotno wyjść z domu, ale ciągnęło ją na pańskie pokoje. Kto wie, kto wie... jak państwa nie będzie, może i fortepianu się dotknie...

Zrobiono wyprawę.

Ciotka ofiarowała swój stary żakiet, Mańka podarowała wspomniałomyślnie koszulę. W wigilję odjazdu poszła pożegnać się do pani felczerowej. Dama przyjęła ją łaskawie i dała kawałek placka, którego dzieci nie dojadły. Pan felczer, gdy żona oddaliła się na chwilę, wyraził gotowość kupienia jej pończoch, jeżeli zechce pocałować go po dobrawoli. Zośka nie

zechciała i udała się na stanowisko bez pończoch.

Po przybyciu do pałacu dostała się w doświadczone ręce pani Wrońskiej.

Kazano jej wyszorować się szarem mydłem i zapowiedziano, ażeby była zawsze porządnie uczesana, bo za pierwszą wszą, jaka się na niej znajdzie, zostanie sromotnie wyrzucona, i to bez odwołania.

Zośka miała olbrzymie włosy i tylko mały, nawpół połamany grzebień, nie traciła jednak ufności w przyszłość. Przy pomocy Bożej i z tej trudności wybrnie.

Teraz zaczął się egzamin:

— Umiesz prać, prasować, woskować posadzki, ścierać kurze? Ach, Boże, nic nie umie. Ręce jak z drewna, wszystko tłucze. Nogi jak stępory; gdy idzie, posadzka się trzęsie. Już lepiej chodź boso, niż w tych buciskach. Czekał, dam ci stare pantofle pana dziedzica. Istny kloc z lasu. I to się godzi do dworu! I to chce brać czterdzieści rubli na rok!

Po tygodniu poszturchiwań Zośka otrzaskała się nieco, nie tłukła wszystkiego, co jej w rękę wpadło i nie pożerała kopy ogórków na podwieczorek. Doczekała się nareszcie dnia szczęśliwego, kiedy powierzono jej misję delikatną i zaszczytną: sprzątanie pokoju panienki.

Wszystko tam błyszczało i pachniało. Palce jej drżały, gdy dotykała tych cudów. Wywiązała się jednak szczęśliwie z zadania. Panienka była w do-

brym humorze i darowała jej dwie pocztówki kolorowe i starą bombonierkę. Zośka przyjęła zbożnie dary, całując rękę hojnej panienki. Po miesiącu otrzaskała się tak dalece, że sprzątała bez wzruszeń pokoje pana dziedzica i pani dziedziczki. Tyko fortepian był wciąż mytem i utęsknieniem. Był to nowy Pleyel i pani dziedziczka pilnowała go jak oka w głowie. Zośka miała zapowiedziane, aby nie ważyła się do niego przystępować bliżej, jak na dwa łokcie.

Miało się odbyć wielkie polowanie doroczne i wrzały przygotowania.

O tem polowaniu przez cały rok przedły się legendy w kuchni. Co państwa! co jadła! jakie odjeżdżne! Pani Wrońska tresowała Zośkę: będziesz pomagała lokajom przy stole. Pamiętaj, żebyś podawała zawsze od lewej strony, i niech cię Bóg miłosierny strzeże, żebyś nie wylała komu sosu na spodnie!

Pałac oświetlony był rżęsiście. Zajeżdżały powozy, wolanty, karety. Woźnice i lokaje zapełnili czeladną, ale Zośka nie miała na nic czasu. Musiała podawać do stołu, potem przynosić kawę do salonu, potem rozbierać łóżka i pomagać pani Wrońskiej w chowaniu nakryć i jeszcze służyć paniom, w pokojach gościnnych.

Było dobrze po pierwszej, gdy się uwolniła, a że nazajutrz o piątej trzeba było podawać śniadanie myśliwym, nie kładła już się na tych pare godzin, tylko

przykucnęła w kącie garderoby, drzemiąc z głową na stole.

Panowie wyjeżdżali co rano, ale o zmierzchu wracali i wtedy we dworze czyniło się huczno i gwarno. Rozstawiano w gabinecie stoliki do kart, a w salonie tańczono.

Zośka patrzyła urzeczonym wzrokiem na jasne sukienki pańienek, wirujących w objęciach fraków. Zdawało jej się, że gdyby jej dane było przez pięć minut tak tańczyć, umarłaby potem z rozkoszy i musiałaby umrzeć, bo nic piękniejszego nie mogłoby nastąpić. Ale pani Wrońska nie pozwalała stać długo.

— Co ty sobie myślisz? Tyle roboty, wszystkim się ręce urywają, a ona się gapi, jak księżniczka!

Pobladła z niewyspania, a trochę i z głodu, bo często, gęsto, nie było czasu co zjeść, ale zdawało jej się, że stąpa w obłokach. Wirowały jej melodie w głowie.

W nocy, w swojej ciupce pod strychem, śpiewała:

Raz urodziła się dziewczyna,
dziewczynka ze skrzydłami.
Żyła w ciemnym i ciasnym pokoju,
między braćmi i siostrami,
ale oni nie mieli skrzydeł.
Dziewczyńce było duszno i ciasno,
chciałaby wyfrunąć, wyfrunąć,
ale okna pokoju były zamknięte
i drzwi także...

Matka gniewała się i krzyczała:

„Co to za dziwne stworzenie:
Garb, nie garb? Nie, to skrzydła!“

I wszyscy się śmieli:

„Co to za dziwne stworzenie:
Ma skrzydła, a my nie mamy!“

Dziewczynka myślała:

I pocóż mi skrzydła, kiedy fruwać nie mogę?

Spiewała półgłosem, by nie obudzić reszty służby, ale zdawało jej się, że jej serce pęknie.

Między gośćmi był i pan Adam. On i jeszcze drugi młody pan kręcili się ciągle koło panienki. Wyjeżdżali konno we troje. W salonie grywali na cztery ręce, czytali głośno poezje... poezje takie śliczne, że Zośka zasłuchiwała się, choć nie zawsze rozumiała, o co chodzi.

Pewnego wieczoru, gdy wszyscy państwo rozeszli się po pokojach, pan Adam kazał sobie przynieść herbatę do sypialni na górę. Siedział na kanapie i palił papierosa. Naprzeciwko niego stał ów drugi młody pan, którego nazwiska Zośka nie знаła.

— Dziękuję ci, Zosiu. Zosia ci na imię, prawda?

— Zosia, proszę jaśnie pana — i grzecznie, jak ją nauczyła pani Wrońska, cofała się ku drzwiom.

Pan Adam zastąpił jej drogę.

— Ach, jakaś ty niedobra! Nie chcesz porozmawiać z nami?

Trzymał ją za obie ręce. W twarz jej buchał oddech gorący, przepojony dymem papierosów i za-

pachem perfum. Tamten pan zaszedł z drugiej strony.

Zośka wykręcała głowę. Policzki jej gorzały ogniem, lzy kręciły się w oczach. Z dołu dochodził głos pani Wrońskiej. Co to będzie! Matko Przenajświętsza!

— Gdzież to była? — spytała podejrzliwie pani Wrońska. — Latasz czerwona jak upiór. Ej, Zośka, to mi się nie podoba!

Następnego wieczora, na ciemnym kurytarzu, gdy szła z bucikami pani, ktoś pochwycił ją mocno, zatrzymał i pocałował. Bez jednego słowa, bez krzyku, wydarła się i umknęła, nie wiedząc nawet, czy to był pan Adam, czy tamten.

Strzegła się teraz jak ognia ciemnych kątów i nie odstępowała pani Wrońskiej. Próbowwała wykręcić się od noszenia zrana śniadania panom, ale szafarka ją ofuknęła:

— Popatrzcie no, jaka to delikatnisia! Tylko ty nie szczerz zębów do panów, a nikt cię nie ruszy!

Nareszcie skończyło się to polowanie i nadszedł radosny moment odjezdnego.

Zośka nazbierała tyle trzy i pięćorublówek, że głowa jej się zakręciła. W nagrodę za trudy pozwolono jej w niedzielę pójść do rodziców. Nie widziała ich już od paru miesięcy. Toż to była radość, gdy pokazała swoje skarby! Złożono naprędce radę rodzinną. Postanowiono kupić krowę, a za to, co zo-

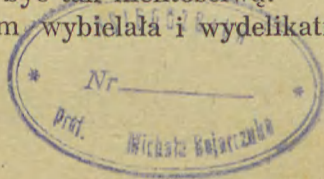
stanie, matka z ciotką, poszedłszy na najbliższy jarmark do miasteczka, pomyśla o „ogarnięciu“ Zośki. Niebawem posiadała majtki pierwsze w życiu, dwie koszule, trzy pary pończoch i sześć chusteczek do nosa. Te ostatnie wywołały burzę protestów w rodzinie: uważano je za bezużyteczny zbytek, ale Zośka napatrzyła się już w pałacu na dziwności i nie chciała ustąpić.

Pani dziedziczka miała dziwną naturę. Czasami zamykała się na pare dni w swoim pokoju i płakała. To znów chodziła po parku samotnie, nie chcąc nic mówić do nikogo. Panna Stefanja za to była wesoła jak ojciec. Nudziła się w domu.

Pewnego dnia wytoczono karete, zaprzężono czwórkę cugową, przytroczono z tyłu kufrы i pan dziedzic odjechał z panienką do kolei. Pani Wrońska powiedziała, że jadą do Paryża.

Teraz było mało roboty i Zośka śpiewała po całych dniach. W wielkim sekrecie zabrała dwie książki z pokoju panienki: gdyby to pani Wrońska zobaczyła, Matko Przenajświętsza! Jednej nie zrozumiała dobrze, ale druga była śliczna: o hrabiach, o książętach, o miłości! Po nocach śniły jej się zdania całe: „Czy chce pani, abym się zabił?“ A ta zimna kokietka odparła: „Czyń pan, co chcesz, i nie nudź mnie!“ O, jak można być tak nielitościwą!

Na wikcie dworskim wybielała i wydelikatniała.



„Panna zrobiła się z Zośki“! zaznaczał Józiek Wojciechoszczak. Zaczął przystawiać się do niej, on i starszy kuchcik, ale zrazili się prędko wobec jej nieprzystępności. Bo i po co? zadawać się z takimi?

— Chamy! Nie dla psa kielbasa!

W pewien zmierzch zimowy zawołano ją do pani dziedziczki.

Siedziała w salonie. Przez niezastłonięte okna wlewały się barwy umierającego dnia i blada zorza zachodu.

— Zdaje mi się, że to ty śpiewałaś kiedyś w kościele?

— Tak, proszę jaśnie pani.

— Pamiętasz jeszcze, czego pan cię nauczył?

— Z głowy to pamiętam, proszę jaśnie pani, ale na nutach to nie wiem.

Pani dziedziczka uderzyła w klawisz. Odezwał się głęboki głos Pleyela i Zośka zadrżała od stóp do głów.

— Powtarzaj za mną.

Akompanjowała i śpiewała. Zośka słuchała i śpiewała za nią. Rozśpiewała się całą duszą. Głos własny upajał ją i onieśmiał. O wysoki sufit salonu odbijał się i rozbrzmiewał pełnią i budził echa.

Tę noc spędziła w gorączce. Czy pani zawoła ją jutro?

Pani zawołała. Co dzień śpiewała nowe kawałki. Zośka nauczyła się ich na pamięć i z nutami nawet

zaczęło iść łatwiej. Zdawało jej się, że żyje w pałacu szklanym — dokoła tylko muzyka, muzyka, muzyka.

Potem pani dziedziczka zaczęła znów płakać. Zamknęła fortepian i nie wychodziła ze swego pokoju. Śpiewy się przerwały.

I tylko rozkołysana dusza rwała się tam, w dziedzińcu cudowne, gdzie raz zajrzała... i rozbijała się o niemożliwość.

W pewien dzień majowy Zośka biegła przez park. Trawniki zieleniły się mięciutką trawą. Kwiaty wiosenne o niewysłowionych zapachach strzelały samorodnie. Drzewa opuszczały gałęzie, oplątane młodym liściem. Ptactwo głośliło na wyścigi pochwałę nowemu życiu. Wtem, w głębi tej zieleni radosnej, z pod krzaków, zwisających ku ziemi, wytoczył się wolant, okrążył podjazd i stanął przed pałacem.

Wyskoczył z niego pan Adam.

— Mój kat przyjechał... — pomyślała Zośka. Oparła się o drzewo z niemocą. Zdawało się, że życie jej ucieka z serca, spływa w dół z trwogi, a ta trwoga miała w sobie coś urzekającego...

Panna Stefanja, która niedawno wróciła z Paryża, stawała się dobra, rozmarzona. Pan Adam nie odstępował jej na krok. W czeladnej mówiono, że się będzie z nią żenił. Byli razem od rana do wieczora, do chwili, gdy wszyscy rozchodzili się do swoich

pokojów. Wtedy z gościnnych apartamentów wybiegała piosnka, nucona radosnym tenorem. W pokoiku panienki dźwięczała jak echo ta sama piosenka, intonowana cieniutkim sopranikiem. Zośka milczała.

Jakim trafem, jakim zrzędzeniem losu wpadła w noc pewną w rozwarłe ramiona panicza?

Całował ją i leciutko popychał do sypialni. Zośka nie mogła się wyrwać, a nie śmiała go odepchnąć: jakżeż odpychać panicza? Czowała na czole dłoń suchą i palącą, która odgarniała jej włosy, czowała na ustach pieczęcie gorące. Młoda krew oszalała. Nie bronila się... szła w lenno, jak ćma do świecy.

Za trzecim razem, gdy boso wybiegła z pokoju pana Adama, przyłapała ją pani Wrońska.

— Więc to ty! Ty! Miałam cię za uczciwą dziewczynę! Precz! Zabieraj manatki zaraz o świcie i niech noga twoja tu więcej nie postanie.

Rozgorączkowane ciało Zośki przenikł dreszcz lodowaty. Chłód, zimno śmierci. Powiew dnia nieubłaganego. Otwarte szeroko oczy widziały otchłań, wstyd, pośmiewisko... A ojciec, a ciotka, a pan Stanisław... Runęła do nóg Wrońskiej.

— Ja niewinna, paniusiu, litości! Ja niewinna...

— Cicho, cicho, bo cały dom się obudzi. Niewinna, niewinna... Byłaś u pana Adama, czy nie? mów!

— Byłam, ale ja niewinna. Ja nie wiem... coś mię

opętało... Paniusiu, litości... Jeżeli pani ma coś świętego, coś kochanego... Na rany Chrystusa Pana... Zaklinam...

Całowała nogi szafarki, tłukąc głową o podłogę. Kobieta chmurna i pogardliwa wzruszyła ramionami:

— Idź spać, a jutro pomówimy. Zostać we dworze nie możesz w żaden sposób, pani dziedziczka nie ścierpiałaby... No, nie becz. Idź teraz spać. I trzymaj język za zębami.

Rozszlochana, dygocąca, czekała Zośka świtu, jak wyroku śmierci. Nie śmiała jeść śniadania, nie czuła się godną. Bała się wyjść ze swej izby. Słyszała, że jej szukają: „gdzież ta Zośka zatracona“? i kryła się za łóżko ze wstydem. Niech będzie, co chce, byle nie patrzeć ludziom w oczy.

Około ósmej weszła pani Wrońska, surowa, ociekająca sprawiedliwością, jak Temida we własnej osobie.

— Spakowałaś manatki?

— Paniusiu, litości!...

— Litości, litości, jakbym cię chciała dać na pożarcie dzikim zwierzętom. Odsyłam cię do rodziców i nawet nic im nie powiem, choć by ci się należały tegie baty od ojca, bo mi żal tych ludzi.

— Pójdę na folwark, będę szafle świniom nosiła i w pole pójdę, tylko nie odsyłajcie mnie do domu!

— Tak, żeby cię pan Adam znowu wypatrzył.

Nic z tego, moja panno. Nie całuj mnie po rękach; choćbyś mnie śliniła jeszcze sto razy i więcej, nie ci to nie pomoże.

W paroksyzmie rozpaczy Zośka zdobywała się na słowa, które niewiadomo skąd przychodziły jej do głowy... może zdania przeczytanych powieści, może zwrotki romansów, śpiewanych z dziedziczką. Zaklinała, łkała, tarzała się u nóg Wrońskiej, rwała sobie włosy z głowy.

Nareszcie szafarka zgodziła się odegrać rolę Opatrzności.

Jej siostra jest za fryzjerem w Warszawie; mają zakład, mają praktykantów.

— Czy chcesz zostać fryzjerką?

Zośka chciała wszystko. Więc zabierze się z Szymonem, który jeździ po pocztę do miasta. I żeby pamiętać, że niema żartów! Siostra pani Wrońskiej będzie uprzedzona o jej moralności. Za pierwszym razem, gdy dostrzeże coś takiego, wyrzuci ją za drzwi.

Zośka obiecywała poprawę, obiecywała wszystko, czego od niej żądano i w pół godziny potem odjeżdżała na wózku, obok Szymona, nie patrząc na zapuszczone rolety w oknie pana Adama, nie patrząc nawet w stronę Woli Gałęskiej i czworaka rodziców, z którymi się nie pożegnała.

II.

Na trzecim piętrze wysokiej i ciemnej kamienicy, mieści się rodzina państwa fryzjerstwa, kilkanaście peruk i skład włosów.

Zośka ma kącik w alkowie, między włosami, gdzie rozkłada na noc siennik. Przez cały dzień jest na nogach w sklepie na dole. Pensji nie bierze — za to dopuszczona jest do zaszczytu siedzenia przy stole z państwem. Przez pierwsze trzy miesiące odbywała „termin“, polegający na sprzątaniu, szorowaniu, zmywaniu statków, prowadzeniu młodych fryzjerzatek w aleje. Nareszcie pan fryzjer uznał, że się dość wysłużyła i zaczął ją wtajemniczać w swe kunszty.

Umie już przeto fryzować, ondulować, układać puki i nierzadko pan fryzjer posyła ją do gorszych klientek, gdy mu się samemu iść nie chce.

W niedzielę, gdy państwo wychodzą na spacer z dziećmi, wolno jej siadać na balkonie, od podwórza. Taki ruch tam zawsze. Stróż krzyczy na dzieci. Szwaczka z drugiego piętra wychodzi wystrojona. Dwóch urzędników pocztowych zaczepia w bramie

pokojówkę doktora. Tyle zajmujących wydarzeń, że ani się obejrzeć, jak zmierzch zapada, i trzeba nakrywać do herbaty, bo państwo wrócą.

Czasami odwiedza ją Mańka.

Mańka jest typową „szwają“ warszawską. Wygadana, bezkrwista, umęczona, obwiesza się świecidłami. Ma wielbiciela, krawczyka. Ale ona nie da się wziąć na kawał. Nie taka głupia, jak inne.

Początkowo słowa podobne wywoływały zawsze krwawy rumieniec na twarzy Zośki. Nużby siostra się domyśliła! Teraz obijały się o zamarłą powierzchnię duszy, jak o tarczę metalową, jak o rany zaskorupiałe i wybolące.

Pałac — ogród — pan Adam — war krwi i piekło wstydu... Czy to było niegdyś? Gdzie? Kiedy? Wszystko utonęło w zwałach włosów: Włosy, włosy... fale chrzęstkie, zwoje oplątujące... jasne, ciemne, twarde, delikatne, proste, kędzierzawe, prawdziwe, sztuczne... Włosy, włosy, nic po za włosami...

Pani fryzjerowa trzyma ją krótko, ale pomału pozbyła się nieufności. Niezłe dziewczynisko ta Zośka... Co robić, to robiła, może tylko przez głupotę... a może i wszystko plotki. W drugim półroczu pozwoliła jej wychodzić w niedzielę i odwiedzać siostrę, ale Zośka nie miała wielkiej ochoty do tych wizyt. Pokoik w suterynie, zamieszkiwany przez Mańkę i trzy „koleżanki“, był zawsze taki pełen zaduchu i taki nieporządny!

Jakoś na początku postu spotkała przypadkiem pana Stanisława.

Poznał ją odrazu, podał jej rękę, nazwał towarzyszką. Towarzyszką? Nie wie, co znaczy „towarzyszka“. Więc i tego nie wie, że porządek stary się wali i że nastaną czasy równości i swobody? Z wielkim zapałem opowiedział jej wszystko, czego się dowiedział na wiecach politycznych, a i Zośka przypomniła sobie, że do nich, do fabryki, także przychodziły takie „światowe“ i opowiadały o tym „Karolu“, ale nie przywiązywała do tego wagi. Ze zdziwieniem, a także z odrobiną uciechy dowiedziała się, że wkrótce wszyscy będą już równi: myśl o równości nasuwała jej wizję pana Adama, a przedewszystkiem Pleyela w dużym salonie. Słuchała jednak z niedowierzaniem. Wszyscy równi? I ona, Zośka, mogłaby tańczyć co wieczór, jak panna Stefanja i inne panienki w Osinach? Nie sprzątać, nie posługiwać, tylko wstawać późno, stroić się przez cały dzień, a wieczorem tańczyć? A któżby usługiwał?

Pan Stanisław zakłopotał się: sam nie wiedział dobrze, ktoby usługiwał, ale to jedno wie napewno, że będzie tak, jak mówi. Słyszał to od jednego, takiego partyjnego, wielkiego faceta. Panna Zofja sama się przekona, jak posłucha, co mówią na wiecach.

Obiecał zaprowadzić ją w przyszłą niedzielę, jako nową towarzyszkę, a tymczasem zaprosił do cukier-

ni. Odmówiła, bo się bała fryzjerowej. Przytem nie mogła nie zauważyć, że pan Stanisław ma brudne paznogie, wyraża się pretensjonalnie i podryguje śmiesznie, gdy mówi. Dawniej, na wsi, nie zauważyła tego jakoś... dawniej, gdy nie знаła jeszcze pana Adama...

Kiedy Mańka wpadła nad wieczorem, opowiedziała jej jednym tchem za parawanem fryzjera o tych nowych czasach.

Siostra nie podzielała jej entuzjazmu. Tak tam gadają o tej „leworucji“, ale ona w to nie wierzy i nie trzeba o tem gadać, bo mogą za to wsadzić na Pawiak, albo wysłać na Syberję. Mańka nie wie dobrze dlaczego, ale tak jest napewno. Tej piegowatej Wikci brat też wpadł i siedzi.

Z nowem zdziwieniem pouczyła się Zośka, że istnieje cytadela i Pawiak, a także, że policjanci i żandarmi — te burki w długich sukmanach — to nieprzyjaciele i trzeba się ich wystrzegać jak ognia. Dotąd wierzyła zawsze, że jeżeli nie będzie robiła nic złego, to nic złego stać się jej nie może. Jak to w tem mieścisku okropnie, Matko Najświętsza. Idzie człowiek, wygląda zupełnie jak my, a może być szpicel, a myśli tylko, jakby ją ukrzywdzić. I dlaczego? za co? Jezu, Jezu!

Odtąd żyła w ustawicznej trwodze i zmykała co sił, zobaczywszy na ulicy policjanta.

Pomimo tego poszła w niedzielę na wiec z panem

Stanisławem, z „towarzyszem Stanisławem“, jak zaczął się nazywać.

Niewiele zrozumiała z przemówień, ale urosła we własnym mniemaniu, kiedy zaproponowano jej rozdanie garści odezw. Podjęła się z uszanowaniem zadania.

— A uważajcie, żebyście nie wpadli; oglądajcie się, czy jaki szpicel nie lezie za wami.

— Niema strachu, już ja się będę pilnowała.

Pierwszą odezwę podrzuciła pod drzwiami swego gospodarza.

Pan fryzjer znalazł ją, wracając na obiad, przeczytał i spalił. Wylał żonę, że nie przyłapała za uszy szelmy, co im nieszczęście chce na kark ściągnąć.

— Równość! Tak to piękna rzecz równość. I ja nie byłbym od tego, żeby mi darowali połowę pałacu Kronenberga. Ale oni chcą, żebym przepłacał moich fryzjerczyków i dokładał do jenteresu. Nie-doczekanie ich. Dziękuję za taką równość!

W drugim roku pobytu wydarzył się fakt ważny. Pan fryzjer skaleczył sobie prawą rękę i posłał w zastępstwie Zośkę do znanej artystki, której głowę miał w swojej pieczy.

Zośka urosła jeszcze przez ten czas. Jest teraz wysmukła, wysoka, bladawa. Włosy jej wyszły trochę, ale ma jeszcze przepyszny warkocz. Z pomocą koleżanek Mańki skleciła sobie sukienczynę i kapelus

(bierze już trzy ruble na miesiąc) i zrobiła się całkiem panna miejska.

Artystka była już niemłoda, ale świetnie zachowana, elegancka, pachnąca, wytworna. Miała duże oczy i nerwowe ruchy, pełne wdzięku. Najpierw skrzyzczała Zośkę, że ją targa, potem kazała jej iść precz, bo nie ma pojęcia o czesaniu, wreszcie, przejrzawszy się kilkakrotnie w dużym zwierciadle i zasięgnąwszy zdania pokojówki, zaśmiała się, wycalowała Zośkę, dała jej pudełko cukierków i kazała przychodzić codzień.

Artystka prowadziła życie bez godzin i dat. Czasami leżała w łóżku do trzeciej, czwartej popołudniu. Kiedyindziej zrywała się o świcie i gdy Zośka przychodziła, wpadała na nią z wymówkami, że tak późno się zjawia, a ona pół dnia musi kręcić się jak wiedźma, nieuczesała. Raz Zośka zastała ją nagą, na dywanie: uczyła się w tej pozie nowej roli.

Potrzebna jej była replika i Zośka musiała, acz nieco kulawo, odczytywać rolę młodego wielbiciela. Artystka — wciąż w roli — obejmowała ją i przyciskała do nagich piersi, aż coś dziwnego zaczął się poczynać z Zośką. Była w fazie hojności: darowywała jej coraz coś nowego: suknie, szarfy, pantofelki i pewnego wieczoru przedstawiła swemu przyjacielowi, który odwiedzał ją regularnie raz na miesiąc.

Zośka odrazu poznała pięknego, siwego już pana,

ale on, choć uśmiechał się do niej z upodobaniem, nic sobie nie przypominał. W rozmowie jednak głos Zośki potracił w nim jakieś struny. Zamyślił się. Odchylił w tył głowę i patrzył na nią poprzez zmrużone powieki.

— Majaczy mi się, żem panią już gdzieś widział...

— W Osinach... — odpowiedziała śmiało Zośka.

— W Osinach... Ach, tak... tak... Teraz wiem. Owo dziewczątko, bajecznie muzykalne... Co porabia pani dziedziczka? wiecznie niezrozumiana przez świat i męża?

Zośka nie wiele umiała powiedzieć w tej kwestji; przytem bała się, aby indagacje nie zaprowadziły za daleko... Na samo wspomnienie pana Adama rumieńce lunęły na twarz jej, aż po szyję.

Artystka patrzyła podejrzliwie: mistrz zna pannę Zosię? Skąd? Jak? Dlaczego nigdy nic nie mówił?

Mistrz z uśmiechem opowiedział rzecz całą. Oszczędzając dumę Zośki, nie wspomniął o bosych nogach, ani o kąpieli w szarem mydle.

— Śpiewa pani ciągle?

— Och, nie, proszę pana!

— Co pani robi teraz?

— Jestem fryzjerką.

— Fryzjerką... Pani, ta struna napięta, ta rozdźwięczona harfa eolska?

Artystka spochmurniała bardzo i na czole jej

łubiła się poprzeczna brózdą, która postarzała ją o dziesięć lat.

— Dość na dziś... panna Zosia nie jest mi już potrzebna.

Od tej chwili skończyło się harmonijne pożycie.

Fryzury były teraz zawsze nieudolne i szkaradne. Pewnego razu artystka wpadła na wchodzącą Zośkę z pięściami, aby jej natychmiast oddała grzebień.

— Grzebień? jaki grzebień?

— Nie udawaj niewiniątka, moja panno; złoty grzebień, który mi ukradłaś.

— Jak matkę kocham, ja o niczem...

— Nie wiesz! oczywiście nie wiesz! grzebień leżał na konsoli, a jakeś tylko odeszła wczoraj, już go nie było.

— Proszę pani, przysięgam...

— Nic ci nie pomogą wykręty! Brygisia świadkiem, żeś mi go ściągnęła.

Brygisia, stary lizus, ze swej strony rzekła:

— Niech panna Zosia po dobrej woli odda, z serca radzę, bo to się może źle skończyć!

— Nie widziałam żadnego grzebienia! — broniła się Zośka i trochę dumy zaczęło rozpierać jej piersi. — Jestem uczciwa dziewczyna, nie ukradłam nigdy nic nikomu, może pani spytać, kogo chce.

Artystka nie słuchała, tupiała nogami i krzyczała:

— Oddaj, oddaj, albo cię każę w kajdany zakuć!
W najgorętszej fazie tej sceny nadszedł mistrz.

Podniósł do ust białą rękę artystki i zapytał z uśmiechem:

— Jakaś nowa rola, czy rzeczywista tragedia?

— Mój grzebień, mój złoty grzebień!

— To tak brzmi, jak „mój zielony dzban“...

— Pamiętasz, kupiony na *rue de la Paix*? Ta obrzydliwa dziewczyna wzięła mi go i w żywe oczy się zapiera!

— Panna Zosia miałaby tak nieładnie postąpić? Ej że panno Zosiu, proszę mi wyznać tu, na ucho, jak to było?

— Nie widziałam żadnego grzebienia, proszę pana, słowo honoru daję, jak Bożię kocham. Pani krzyczy na mnie i nie chce słuchać...

Pogarnęła się do niego, jak do jedynej obrony wśród złych, obcych ludzi. Zobaczył w jej oczach jasne wody, obraz łąk i pól — obraz Boga... Zaczął patrzeć w nie długo, trochę za długo...

— *Ecoutez, chérie*, panna Zosia to dziecko wsi... jeżeli mówi, że nie wzięła, trzeba jej wierzyć...

— Znam motywy twojej obrony: jest niewinna, bo ma lat siedemnaście... ale ja się na to nie wezmę...

Porwała słuchawkę telefonu:

— Proszę mnie połączyć z policją śledczą...

W śmiertelnym strachu, gnana widmem Syberji i szubienicy, Zośka uciekała, jak zwierzę oszalałe.

— Do domu? do Mańki? Nie, nie, znajdą, zakują w kajdany. Dalej, dalej, jaknajdalej!

Pobiegła do pana Stanisława.

Powrócił był właśnie z fabryki i gorąco wziął jej sprawę do serca, tembardziej, że sam dopiero co pokłócił się z majstrem.

— Ach ci burzuje, myślą, że im wszystko wolno, poniżać nas, deptać! Ale to się skończy! skończy niezadługo.

— Czy mnie zaaresztują? — pytała Zośka, trzęsąc się ze strachu.

— Nie lękajcie się towarzyszko! Za wami stoi zorganizowany proletarjat!

Pomimo tego pewnika nadszedł wieczór, a jeszcze Zośka nie wiedziała, co robić.

Do fryzjera wrócić się bała, a i pan Stanisław, mimo ślepej wiary w siłę zorganizowanego proletarjatu, nie bardzo ją do tego namawiał. Pozostała więc u niego.

— Połóżycie się na mojem łóżku, a ja tu, w kącie, za piecem. Cóż to u licha za miny? jesteście przecież u towarzysza! Towarzyszka Marja, ta z C-K-Eru zawsze u mnie nocuje, a przecież to doktor filozofji — dodał ze zwykłą chępliwością.

Przez pare dni Zośka kryła się w ciupce pana Stanisława. Z nudów czytała broszury, które tam znalazła, choć nie wszystko w nich rozumiała. W niedzielę gospodarz dotrzymywał jej towarzystwa przez

cały dzień. Rozmawiali bardzo długo, o tem i owem. Jak to się spotykali w Woli Gałęskiej, jak myślał o niej po wyjeździe. Pisał do niej, ona nic nie raczyła odpowiedzieć...

Zmrok zapadał. Zośka czuła się taka biedna, taka sama... Nie wiedząc kiedy, wbrew woli prawie, opowiedziała wszystko to, co dotąd spoczywało na dnie serca, paląc ją wstydem...

Pan Stanisław słuchał bardzo uważnie.

— Cóż — rzekł wreszcie ochryplym głosem, gdy skończyła i czekała trwożnie, co powie: może każe jej iść stąd i nie wracać już nigdy... — Kobieta ma takie same prawo kochania, jak mężczyzna. Grzech? Niema żadnego grzechu.

— Niema w tem grzechu?

— Co za grzech może być w tem, co naturalne?

Wstał i zapalił lampę. Zośka zobaczyła, że był bardzo blady.

— Tak lepiej... nie trzeba lękać się światła. Ach, ci burzuje, — wybuchnął. — Wzięli dziewczynę, sponiewierali, a teraz... Ale tego się nie daruje, nie, nie daruje! Żyjemy w dwudziestym wieku, u licha!

Dnia następnego, pozostawiona samotnie, Zośka poddała rozważaniu usłyszane słowa.

„Niema żadnego grzechu“. To co ją kosztowało tyle łez, rozpaczy i wstydu, nie jest grzechem. „Kobieta ma takie same prawo kochać, jak mężczyzna“. Więc niepotrzebnie trawiła się w bólu, niepotrzebnie

upokarzała przed ludźmi, w poczuciu hańby, niepotrzebnie pozwalała poniewierać sobą! Coś, jak promień słoneczny poczęło prześwieślać duszę zboliałą, odprężyły się barki, skulone pod brzemieniem. Już, już prawie mogłaby śpiewać; rodził się znowu głos umilkły.

Pod wieczór wrócił pan Stanisław z rozpromienioną twarzą, a za nim wpadła Mańka.

— No, i gdzie ty głupia się chowasz? Szukam cię, latam po całej Warszawie, jużem na Mszę Świętą chciała dawać!

Zośka rzuciła się siostrze na szyję.

— Ach, ty nic nie wiesz!

— Wiem, wiem. Ona przyleciała do twojej starej, jak tylko grzebień się znalazł...

— Grzebień się znalazł?

— Pod łóżkiem. Ona się wylękała, zaraz do fryzjerowej, a fryzjerowa do mnie! Jakem powiedziała, że nie wiem o niczem, zrobiła się chryja. Myśleliśmy, żeś się utopiła. Com się napłakała. Aż mi oczy zapuchły. Dopiero spotkałam pana Stanisława i powiedział mi...

Pan Stanisław wysunął lewą nogę i przybrał postawę uroczystą:

— Wasz honor pomszczony, towarzyszek! Dzięki mnie.

— Ach, boki zrywać — trzepała Mańka. — Oni tam poszli we trzech, a ta, jak ich zobaczyła, myślała,

że to bandyci, rzuciła się na kolana, pcha im do rąk wszystkie swoje klejnoty, „tylko życie mi darujcie“ prosi. Aż tu wszedł ten stary pan i dopiero do nich, a to, że nie będziecie panowie prześladować nerwowej kobiety, a to, że „ja przeproszę sam pannę Zosię“, tak wzięli i poszli. Jabym nie darowała! No, ale co ty zrobisz ze sobą? Wrócisz do starej?

Zośka za nic nie chciała wrócić.

— Masz rację. Co ci za niewola? A bo to jeden fryzjer na świecie?

Fryzjerowa, która przez dwa dni była osiłą zainteresowania całej kamienicy, z niecierpliwością czekała pojawienia się głównej bohaterki. Już nawet moral sobie ułożyła, który jej wypowie.

— No, a ta wzięła i nie wróciła! — użalała się przed sąsiadką.

— Takie to zdawało się potulne, a jak to sobie znalazła kawalera! Cztery dni u niego była! Moja pani! Nikogo nie zna w Warszawie, mówiła. Niedarmo mnie moja siostra ostrzegała, że to nicpoń dziewucha!

W mieszkaniu artystki toczyła się cicha, zawzięta rozmowa:

— Proszę cię raz jeszcze: powiedz.

— Nie i nie.

— Powiedz mi przynajmniej jej nazwisko.

— Ażebyś ją odszukał w biurze adresowem?

— Ale dlaczego, szalona kobieto? Co to za upór bezmyślny?

— POCO CI JEJ ADRES?

— Chcę naprawić krzywdę, wyrządzoną przez ciebie.

— Nie potrzeba. Dam jej sama dużo pieniędzy.

— Nie wszystko można pieniędzmi naprawić.

— Nie troszcz się o nią. Znalazła sobie obrońców. Da sobie radę w życiu. Nie potrzebuje ciebie, stary donkiszocie!

Mistrz zerwał się, huknął pięścią w stół.

— Przy tobie można oszaleć, naprawdę. Idę! Odchodzę! Nie wrócę więcej! I uprzedzam: nie pisz znów do mnie, nie wzywaj, bo to się na nic nie przyda!

Wybiegł zaperzony. Artystka patrzyła za nim z zagnionymi gniewem oczyma, jak lwica rozjuszona.

— Leć, leć na złamanie karku! Wrócisz, gdy cię chorobliwy szal minie!

Przejrzała się w lustrze. Ślicznie wygląda z rozdeptanymi nozdrzami. Oczy płoną bez atropiny. Mogłaby grać Lady Macbeth w tej chwili. Jest piękna! Jest młoda! I nikt jej nie widzi! Dary marnują się... a ten, który powinien być przy niej, gna gdzieś po świecie, owładnięty nową namiętnością, jedną z tych, które tyle razy między nimi stawały...

Rzuciła się na kobierzec, pogrzyżyła ręce we włosach i zaczęła szlochać:

— Czemu, ach czemu nie mam już lat szesnastu!

Zośka mieszka w suterynie na Podwalu z Mańką i jej trzema koleżankami. Klóćą się przez sześć dni tygodnia. Ma liczną klientelę między żydóweczkami, córkami sklepikarzy, które chesze po złotówce. Robi też peruki dla ich matek. Od gramofonu z przeciwna nauczyła się arji z *Tosci* i *Cavallerii*, kupiła też sobie śpiewnik i odcyfrowuje nuty, jak ją Pan Bóg nauczył.

Po raz pierwszy w życiu ma swobodę. W domu szturchała ją ciotka, fukała na nią pani Wrońska w Osinach, pilnowała jej fryzjerowa w Warszawie. Teraz może śpiewać po całych dniach: nikt jej nie broni tego, bo nie mają sąsiadów. To też wywodzi trele od rana do nocy.

W niedzielę idą na spacer: każda ze swym face-tem.

Zośka, drzemiąca na łóżku, słyszy, taką rozmowę:

Mańka: (rozwlekle) — ...bo może pan ma tam jaką narzeczoną a bo co... a ja tam nie lubię nikomu w drogę wlaźić, co mi potem?

Krawczyk: M. m. m. m. m...

Mańka: Już ja nie uwierzę, żeby pan w swoim wieku nie miał kobiety.

Krawczyk: M. m. m. m. m...

Krawczyk nie jest żadnym starającym... Boże odpuść! ani on się nie ożeni z taką, co nie ma fun-

duszu, ani ona myśli zawiązywać sobie świat takim, co nie ma własnego interesu — ale chodzą razem do kina, do kawiarni, a jak się zrobi ciepło, to są spacerki przy księżycu do Łazienek, albo za Belweder i ciche chichoty w krzaczkach i westchnienia... nie żadne głupstwa, nie bójcie się! żadna nie jest frajerką i wie, co wolno, a czego nie wolno. Każda marzy, że jej się trafi stary, a bogaty. To jest los!

Zośka jest najmłodsza i niewiadomo co z nią zrobić. Nie ma faceta. Przychodzi pan Stanisław, ale to towarzysz. Raz coprawda, zaprowadził i on ją w krzaczki, ale zaraz, wobec spłoszonych oczu Zośki, pożałował, przeprosił ją i nigdy się to już nie powtórzyło. Kręci nosem trochę na tę kompanję i nie lubi, aby Zośka z nimi chodziła. Przynosi jej książki, które czytają razem. Zośka całkiem już się przekonała do rewolucji, oczekuje jej lada dzień, choć ciągle jeszcze nie rozumie: po co to? Pan Stanisław zaczyna coś przebąkiwać o ślubie, ale Zośka milczy. Pan Stanisław jest bardzo dobry, ale to nie pan Adam... i takie ma grube ręce i często czuć go potem.

Na Zielone Świątki Mańka wybiera się do domu. Olśni całą Wolę swemi strojami, dziewczuchy będą latały za nią, głupie, co o świecie nie mają pojęcia.

Zośka nie chce jechać.

— Ucałuj nogi ojcu i matce i ciotce. I zobacz, jak tam... czy trzcina urosła nad stawami? czy jabłonie bardzo obrodziły? A jakbyś była w dworskim sadzie

w Osinach... ale nie, nie, nie. I żebyś nic nie mówiła o mnie. Nikomu, nikomu, słyszysz? Powiedz, że dobrze stanęła, że zarabiam, że nic nie żałuję. I nic więcej nie mów, zaklnij się na Boga.

W drugie święto, pod wieczór, Zośka wracała do domu.

Nagle usłyszała po za sobą turkot karety i głos jakiś znany zawołał:

— Panno Zosiu...

Obejrzała się. Wyskoczył piękny, siwowłosy pan i biegł ku niej radośnie.

— Nareszcie panią znajduję! Gdzie ja już pani nie szukałem! Poruszyłem niebo i ziemię; nawet do Osin pisałem.

— Do Osin?

Purpura oblała policzki Zośki, lzy gorące stanęły w oczach, ale on, zajęty radością swoją, nic nie widział.

— Niech pani siada ze mną. Jadę na koncert. Po koncercie pogadamy. Już pani nie puszczę! Tu, obok mnie. Marsz, teraz co konie wyskoczą, bo późno.

...Bajka, nie bajka... Mknie kareta o miękkich poduszkach i lustrzanych szybach. Pachnie dziwnie, jak świat nieznan. Uginają się resory, kołyszą, niosą... Migają przez szyby Aleje, chwieją się drzewa, rozkołysane kwiatem.

Raz w życiu siedziała już na poduszkach powozu, gdy go stangret wytoczył przed stajnię do mycia,

ale nigdy jeszcze nie zaznała rytmu ruchu, który jest, jak muzyka.

Plączą się w upojonej głowie słowa:

...Jadę, jadę, jadę...
 a wszystko tańczy dokoła,
 daleko, daleko mnie woła,
 jak w zaczarowanym lesie...
 Niesie mnie karetą, niesie...

— Jak ja będę dziś grał! jak ja będę grał dla pani! — mówił mistrz i ścisnął jej dłonie i patrzył w oczy. — Wiosenko moja! Moja wodo lazuruwa, pełna zdziwień przyniesionych z dalekiej ojczyzny... Co ty czujesz? Co myślisz? Powiedz! Och nie puszczyć, kiedy znalazłem. Będę panią uczył muzyki. Dobrze? prawda, Wiosenko?

Zośka zaczęła bać się trochę tych spojrzeń natarczywych i nerwowego ściskania jej rąk. Wtem karetą stanęła u podjazdu teatru.

Naokoło widniały olbrzymie afisze:

WIELKI KONCERT!

Jan Ochylnowski

*odegra na fortepianie utwory Beethovena, Brahmsa,
 Chopina.*

— Kto to jest Jan Ochylnowski?

— Nie wie pani?

— Nie.

Uśmiechnął się i ścisnął znowu jej ręce:

— Zobaczysz, Wiosenko, kto jest Jan Ochylnowski.

Zaprowadził ją do łoży i znikł.

W olśnione oczy Zośki uderzył blask lamp, brylantów, lornetek. Migotało wszystko w oczach. Przestrzeń teatru wydłużała się i rozszerzała. Była niby puszcza przeogromna, zalana ogniem pałającym. W tem przelewaniu się błysków, lśnień i migotów, rozbrzmiewały tony głębokie, organowe — śpiewne tony, oderwane od materialnych źródeł... aksamitny głos klawiszów, najgłębszy wyśpiew duszy... Niosły Zośkę poza łożę, poza teatr, poza świat — gdzieś, gdzie chóry anielskie śpiewają u tronu Boga...

Nieprędko dopiero zrozumiała, że przy fortepianie siedzi mistrz i piękną, siwą głowę z nad klawiszy zwraca ku niej.

Zośka weszła na schody i zadzwoniła, jak zwykle, na lekcję do mistrza. Pokojówka wprowadziła ją do gabinetu, prosząc, aby poczekała chwilę: pan profesor zaraz przyjdzie.

W salonie, za zamkniętymi drzwiami stali na przeciw siebie: wzruszony, siwowłosy mistrz i artystka, cała w czerni, piękna, z podkrążonemi oczyma.

— Powiesz jej? Powiesz? Przekonasz ją? Na wszystko, co nas... łączyło, błagam cię, Nini.

— Dziwnej roli wymagasz odemnie.

— Kogóż mam na świecie bliższego od ciebie?

- I dlatego chcesz, abym ja właśnie...
- Jeżeli mię kochasz...
- Och, mężczyźni, mężczyźni...
- Gdybyś ty chciała czegoś, nie byłoby ofiary, którejbym dla twego szczęścia...
- Czy będziesz z nią szczęśliwy?
- Nie wiem.

Ujął rękę artystki, podniósł do ust:

— Nini, wiesz, czem byłaś dla mnie. W duszy mojej żyje wiekiusta pamięć i wdzięczność za przeszłość. To moje „tabu“, które poniosę aż za wrota śmierci. Ale inne są prawa wiosny, a inne jesieni. Dziś wszystkie moje pragnienia, u wrót starości wołają o nią jedną...

— Panienska zaczyna karierę od łamania serc swoich bliźnich.

Nie opierała się już. Mimo bólu dojmującego, co przeżerał serce. Widać, że tak być musi. Widać, że takie jest przeznaczenie. Z fatalizmem artystów pochylała przed niem głowę.

Mistrz został w salonie, patrząc za nią niespokojnie. Obejrzała się boleśnie na tę piękną, rozumną głowę, tak szlachetną i już siwą niestety! Dzieciak! Stary, biedny, luby dzieciak!

Ze sztucznym śmiechem weszła do gabinetu.

Zośka czekała cierpliwie. Na widok wchodzącej rzuciła się w tył gwałtownie:

— Cóż to, panno Zosiu? Ach, wiem, jeszcze o ten

grzebień! Jeszcze pani pamięta takie drobnostki? Gdyby pani wiedziała, jak bardzo zostałam za to ukarana... jak bardzo!

Wzięła obie ręce Zośki, pomimo jej oporu. Stwierdziła, że ręce te bardzo wybielały i mimo plebejuszowskie rozmiary mogą nawet uchodzić za ładne. Zośka mimowoli ulegała czarowi jej uśmiechu, jej głosu.

— Siadajmy tu, na kanapie i porozmawiajmy. Mogłabym być pani matką... Nie mówię, że żywię dla pani uczucia macierzyńskie, och, nie... ale zobowiązałam się powiedzieć pani i powiem.

Zośka słuchała spłoszona i coraz bardziej wylęknona.

— Pewien człowiek, szlachetny, wytworny, rozumny, jacy rodzą się raz na sto lat, przyszedł do przekonania, że żyć bez pani nie może. Pani wie, o kim mówię? Co? Wie pani? Dalej, po co te miny!

— Wiem... — szepnęła cichutko Zośka.

— Między wami jest wielka różnica wieku, ale sądzi, że jego gorące serce wypełni tę różnicę. Bez pani życie jego nie miałoby już sensu — tak przynajmniej on to sobie wyobraża, a ja powtarzam wierne — och, czynię to dla niego, nie dla pani!... A ponieważ obchodzi go artystyczna przyszłość pani, proponuje wyjazd do Włoch dla dalszego kształcenia się, w jego towarzystwie...

Mistrz, nie mogąc się doczekać końca rozmowy, wszedł na palcach...

(Pierwsze jego, nieśmiałe, gorejące spojrzenie — och, biedny, biedny, drogi, stary dzieciak! — było na tę gęś, stojącą z opuszczonemi w dół sukni rękami, jakgdyby zabierała się do dojenia krów).

Z wysiłonym uśmiechem i sztuczną wesołością artystka zwróciła się do mistrza:

— Ja już odegrałam moją rolę. Teraz kolej na odpowiedź panny Zosi.

— Panno Zosiu, chce pani pojechać ze mną do Włoch?

Wszystkie opowieści o błękitnych morzach i różnych gajach zagrały nagle przed oczyma Zośki i z ust jej wydarły radosny okrzyk:

— Chcę!

— Będę czuwał nad talentem pani, jakgdyby nad ukochanym kwiatem. Ale... panno Zosiu... to nie wszystko jeszcze...

Pot perlił mu się na czole. Zwrócił błagalne oczy na artystkę, która gniewnie wzrok odwracała.

Czego chce jeszcze od niej — czego? Czy nie rozdarła serca na kawały?... dla niego?

Wzruszyła ramionami i wyszła z pokoju, trzaskając drzwiami.

— Panno Zosiu... bo może to pani inaczej przedstawiono... proszę mi powiedzieć... widzi pani, drzę cały... Czy pani może widzieć we mnie coś więcej, niż

nauczyciela, niż ojca? Bo... Proszę się zastanowić. Czy pani przez tyle miesięcy siedząc dzień po dniu obok mnie, przy fortepianie, nie pomyślała nigdy, że... Czy jestem w oczach pani bardzo stary, bardzo niepowabny?...

— Bo — wyrzucił nagle rozpaczliwie, — jadąc razem do Włoch, musimy być mężem i żoną... razem, dzień i noc... przysięgam, że pani nie pożałuje...

— Nie mówię — zaczął znowu po chwili, łagodząc brutalność tego, co powiedział, — abyśmy kiedyś naprawdę nie stali się mężem i żoną, ale tymczasem: wiadomo pani, że żona moja żyje. Panno Zosiu... — Głos zachrypiły uwiązał mu w gardle. Patrzył wyteżonym wzrokiem w Zośkę, która stała przed nim, z opuszczonemi oczyma, spokojna, zaledwie odrobinię różowsza niż zwykle. Zdawało się, że nic z tego wszystkiego nie słyszy, nie rozumie. Mistrz zaczął się niepokoić, że będzie musiał powtarzać od początku.

Ale w mózgu Zośki, choć w powolnem tempie, płynęły fale splecione i wielokrotne.

Echa słów Mańki i jej koleżanek: „najlepiej to iść na utrzymanie do starego“, i surowe nauki ciotki, i moralne przykazania pani Wrońskiej, i opowieści o „takich“, które się palcem wytyka, choć noszą halki jedwabne... A nad wszystkim górował mocarz, Pleyel, jak szatan kuszący... i cudowne ręce mistrza,

co odklinają czary i z człowieka czynią twór bezwolny... i świat przeogromny, gdzieś daleko...

Mistrz skulił się bezradnie, polykając lzy gorące. Artystka weszła znowu.

— Odpowiedz pani — zawołała niecierpliwie. — Cóż to, tak trudno odpowiedzieć na ofiarę najszlachetniejszego człowieka, którego pokojówką mogłabyś być raczej!

— Nini, błagam cię...

— Weź że ją, tę swoją Dulcynę, która nie umie nawet zmierzyć twojego dobrodziejstwa!

Nie wiedziała Zośka, czy odpowiedziała coś, czy nie; nie wiedziała, jakim sposobem znalazła się w objęciach mistrza i na rękach i ustach poczuła jego pocałunki, a w pamięci wyrosło przykazanie, że ma się zaraz wybierać w podróż.

Szła do domu, chwiejąc się, jak pijana.

Dokoła ulice, ulice, turkot powozów, migot twarzy nieznanych. Ludzie, okna, zegary. Już piąta... a dopiero co widziała wpół do piątej... ale gdzie, na jakim zegarze? gałąź chwiała się nad owym zegarem... „Najlepiej iść na utrzymanie do starego“, mówi Mańka. Co powie matka? ciotka? „Wysoko stanęła dziewucha“. Grzech? „Niema żadnego grzechu“, mówi pan Stanisław...

Do mieszkania mistrza znoszą pudła z magazynów. Legjon krawców i szwaczek upina na Zośce, jak

na lalce, stroje, przeznaczone na zagranicę. Stoi cierpliwie, nie śmiejąc nic mówić wobec artystki, która, pomagając jej gorliwie w przygotowaniach, biczuje wciąż nielitościwie wyniosłem spojrzeniem. Zośka nie rozumie powodu szyderstwa, kuli się tylko jak pod batem i nie śmie powiedzieć, że tęskni... Paść do nóg ojcu, matce, uściskać, prosić o błogosławieństwo... nie widziała ich tak dawno...

W wagonie przypomniała sobie, że nie pożegnała się z panem Stanisławem. Biedny p. Stanisław, taki dobry, poczciwy! kiedy wszyscy byli przeciw niej, on jeden jej bronił, on jeden się ujmował za nią! A ona niewdzięczna zapomniała o jego istnieniu! Nie można pamiętać o wszystkim... Fala porwała ją, rzuciła do tego wagonu wypoduszkowanego, niesie u boku mistrza, kto wie dokąd — daleko... daleko...

III.

— *Une tasse, madame.*

— *Je veux bien.*

— *Une tasse, monsieur.*

Złotowłosa panna, ubrana, uczesana podług ostatniej mody, krążyła po salonie i przed każdym gościem zatrzymywała się z mechanicznym uśmiechem i frazesem, podobna do doskonale nakręconej lalki. Od czasu do czasu zwracała oczy ku otwartemu balkonowi, jakby tam szukała rady i natchnienia, czy dobrze spełnia obowiązki *d'une jeune fille de la maison*.

W otwartej na dolinę tokańską *loggii*, stał mistrz w otoczeniu wielbicieli i wielbicielek. Dopalałi papierosów. Od ogrodu płynął wieloraki zapach: róż, cytryn kwitnących, jaśminów, co oblegały kraty altanek. Dwa cyprysy sięgały aż do pierwszego piętra podobne do szyldwachów i zagłędały w okna.

W ramie tej odsłaniała się rozległa dolina, pocięta w kwadraciki winnic, pokreślona kapryśną linią Arna, zamknięta szeregami wzgórz radosnych. Widniały na szczytach kościoły o fasadzie z czarnego

i białego marmuru, zamki, wieżycy. Każda z tych budowli była niegdyś widownią zdarzeń doniosłych i siedliskiem legend, czepiających się starych murów, nakształt bluszczu. Każda miała imię dziejowe, a dźwignięta była nieomylnym instynktem geniuszu tokańskiego, tam właśnie gdzie być powinna, wyrastając z tła krajobrazu, jak nieodzowny jego ciąg dalszy.

Na samym krańcu wreszcie, w obłokach kurzu i szkarłatach zachodu, majaczyły dwa wiekuiście piękne kwiaty z kamienia: czerwona kopuła katedry Brunelleschi'ego oraz wieża Palazzo Vecchio Arnulfa del Cambio.

Miss Massie, podstarzała, a zawzięta wielbicielka mistrza, wołała po raz niewiadomo który:

— *Look how nice!* Te dęby, te oliwki, ten *podere*... Zaiste tylko artysta może wyszukać sobie taki uroczy kącik. Ja od dwudziestu lat przyjeżdżam do Florencji, a nie miałam pojęcia o istnieniu tej willi.

— Dawna willa Medyceuszów.

Mrs Houghton, rywalizująca z nią w miłości dla sztuki i mistrza, wnet znalazła się obok.

— Czy aby mr Ochylnowski znalazł dobre warunki pracy w tej starej willi? — troskała się.

— Zupełnie, zupełnie — upewniał mistrz.

— Czy tu niema wilgoci?

— A czy tu wolno fotografować? — dorzuciła zaraz miss Massie. — Chcę przyjechać jutro z koda-

kiem na parę dni. Ten pański *contadino* taki charakterystyczny. Niech mu mr Ochylnowski będzie tak dobry kazać włożyć odświętne ubranie.

Odpowiadając z niezmeńczonym uśmiechem wielbiącym go milionerkom, mistrz kierował wciąż oczy ku salonowi, gdzie złotowłosa panna, ukończywszy swe zadania, siadła na kanapie, opuściwszy ciężko ręce. Pod jego wzrokiem wyprostowała się szybko i ułożyła wdzięcznie dłonie na kolanach.

Jeden z młodych elegantów zbliżył się i, ukazując konfitury na kryształowych talerzykach, zapytał:

— Jak to się nazywa po polsku?

— Angrest — odparła piękność.

— Agrest — poprawił mistrz od *loggii*. — Po co panu ta wiedza, hrabio? Czy pan zamierza uczyć się języka polskiego?

— Może — zaśmiał się Włoch. — Czy nie wolno, panno Wiosenko?

Zośka nic nie odpowiedziała. Mistrz namarszczył się. Obie Amerykanki rzuciły się teraz w przyływie entuzjazmu na nową ofiarę:

— Miss Wiosenka, zaśpiewa pani? Pani ma taki głos prześliczny! Coś, czego nikt dotąd nie słyszał. Czy wystąpi wreszcie z koncertem? Jeszcze nie? Szanowny wuj nie pozwala?

— Miss Wiosenka jest córką siostry czy brata pana? — zawołała ze zwykłym trzpiotowstwem miss Massie.

Mistrz spojrział na Zośkę, bezradną i szkarłatną na swej kanapie.

Porywczo odparł:

— Już miałem zaszczyt raz pani powiedzieć, że jest moją siostrzenicą... tak, jest, córką mojej siostry... i od tej pory nic się nie zmieniło.

— Bo — nalegała dokładna Amerykanka — na liście, gdy państwo mieszkali w hotelu, czytałam młde Ochylnowska.

— Siostra moja wyszła za kuzyna, noszącego to samo co i my nazwisko.

Zaspokoiwszy tak ciekawość swej wielbicielki, mistrz odwrócił się ponownie do poważnego pana, z którym dotąd rozmawiał:

— Bardzo byłbym rad, gdyby *maestro* wydał sąd o głosie mojej... siostrzenicy... Ja mogę się mylić...

Spojrzał znów na nią. Siedziała spokojnie na kanapie, w wyuczonej wdzięcznej pozie, z pochyloną pod ciężarem warkoczy główką. Tkliwość rozpierała mu serce.

Mówił bez potrzeby, ulegając czemuś silniejszemu nad wolę. Dławiąc się z nadmiaru wzruszenia, opowiadał:

— Nie. Nie ma pan pojęcia, jaka ona dobra, jaka bezinteresowna, jaka szlachetna... Nigdy żadnego wybryku... a przecież to byłoby naturalne u młodej osoby, która... Cicha, skromna, niewymagająca. Myślałem: może nie subtelna... gdzie tam, ogromnie

subtelna. Przez dwa lata, gdy byliśmy w Paryżu... rozumie pan, widzi się tam niejedno... wszystko zło spływało z niej, uchodząc jej uwagi. Pracowała, uczyła się. Gdy w niedzielę wywiozłem ją za miasto, był to już kres uciechy. Chciałbym, żeby ją ludzie ocenili... chciałbym...

Zatrzymał się przed wypowiedzeniem decydującego słowa. Był jak manjak, który dąży do celu, a obawia się go jednocześnie.

Na myśl, że ten skarb miałby wyjść z pod absolutnego panowania jego i ukazać się ludziom, ogarniała go trwoga przeraźliwa. Trwoga i zazdrość. Zośka jest dobra, bardzo dobra, ale czy dobroć zmieni to, że ma lat ośmnaście? Wywiózł ją z Paryża, gdy zanadto poczęto się nią interesować, umieścił w tej cichej willi, pod Florencją, gdzie nie czyhało żadne niebezpieczeństwo, a i tu zaczynają się wciskać ludzie niepożądani.

Ten czarnooki hrabia, naprzykład, co nie wiadomo jak się przyplątał...

— Młodzi są tak brutalni — mówił mistrz i łzy kręciły mu się w oczach. — Taki młodzik nie ma nic świętego. Zobaczy ładną dziewczynę... i zaraz...

— Słowem, kolega życzy sobie...

— Nic właściwie. Mówię, ot tak... Ale ponieważ przyrzekłem, dałem słowo...

— Żeby poszła na scenę? — streścił włoski *maestro* z jasnością łacińską.

— Na scenę...

Wszystko pcha do tego rozwiązania, droga zmierzająca z logiką fatalności. Cały układ ich życia woła: scena. Zresztą czyż nie przyrzekł jej tego solennie? Ślubował samemu sobie czuwać nad jej talentem, jak nad najdroższym kwiatem...

— Na scenę?... Tak, na scenę... Ale jeszcze nie teraz... nie...

Obrócił się i nagle jak we śnie odszedł do fortepianu.

Ta niespodziewana łaska w szalę wprawiła Amerykanki. Jedna rzuciła się do zapalania świec, druga przysuwała taburet. Wszyscy ucichli w skupieniu. Falowały niespokojnie wachlarze. Czarodziejskie palce mistrza porwały dusze bezwolne gdzieś w zawroty uniesień bez nazwy i udręk nad miarę ludzką. Jawiło się oblicze Boga, przeczuwane tylko niekiedy w błyskawicach i piorunach. Miss Massie jęczała cicho, jakby dusza jej nie mogła sprostać nadmiarowi wrażeń...

Zośka wysunęła się na balkon.

Z ogrodu płynął poważny wtór czarnych dębów i szelest zjeżonych przez wiatr cyprysów.

Jak daleki przyzyw świata odzywał się niekiedy pomiędzy winnicami świst przelatujących ku Florencji pociągów.

Mrużą się oczy Zośki. Nie myśli o niczem.

Jak bajka nazbyt dziwna, a przez to samo już nie

wzruszająca, przemknęły *tournées* artystyczne u boku mistrza. Sale, koncerty, wagony sypialne, miasta, hotele... Z okien widać ulice nieznanne, rozbiegające się niewiadomo dokąd. Pędzą tramwaje, dążące do celów jakichś; mnóstwo ludzi o obcych twarzach i niezrozumiałej mowie krzyżuje się na wszystkie strony. Tyle, tyle tego...

Teraz rozbili namioty tutaj, bo tak chciał mistrz.

Rankiem, gdy świeci ogromne słońce, jakiego nigdy jeszcze nie widziała, siada na balkonie, aby złoć jej skórę. Tak przykazał mistrz: „To bardzo zdrowo. Leż na słońcu i grzej się, póki ja będę w kąpieli“. Zośka zawsze słucha mistrza.

I nie dziwi się, że teraz oto siedzi w gronie najwykwintniejszych osób towarzystwa florenckiego. Tylko czasami wpada w ambaras, jak naprzykład dziś z temi koligacjami...

— Taka samotna... Pani marzy?... — usłyszała po za sobą ciche słowa.

Piękny hrabia włoski wszedł na palcach i pochylił się nad nią w wyszukanej pozie dandysa.

— Ach...

— Przełękła się pani... przepraszam...

— Nie... tylko...

Zośka wstała i rzuciła trwożne spojrzenie ku fortepianowi w salonie. Mistrz tak nie lubi tego, tak ją zawsze ostrzega przed samotnemi pogawędkami

z młodymi ludźmi, którzy wysmiewają się ze wszystkiego...

— *Mademoiselle* Wiosenka, czy wszyscy wujowie w Polsce są tak surowi?

— Nie, ale ja muszę iść...

— Dokąd? Już wszyscy dostali herbatę dzięki troskliwym mozołom pani. Spełniła pani zadanie swe na piątkę. Proszę mi powiedzieć, kogo się pani boi: mnie czy wuja?

— Wuj jest bardzo dobry... ale ja muszę już iść...

— Któżby nie był dobry dla pani? Zobaczyłaby pani, jaki ja byłbym, gdyby mnie niebo obdarzyło taką siostrzenicą. Proszę nie uciekać. Muzyka? Słychać ją tutaj doskonale. A zresztą, między nami, ma pani chyba już dość tej muzyki od rana do wieczora?

Jak się tu nie śmiać? Tylko poco hrabia szuka ukradkiem jej ręki i poco mówi:

— Wuj pani strzeże jak skarbów Sezamu!

Te słowa nieznanne takie straszne: co to jest takiego Sezamu? Cóż ma odpowiedzieć Zośka? nauczyła się mówić po francusku, ale flirtu jej wuj nie nauczył. Ma już lzy w oczach i z ulgą widzi, że mistrz wstał od fortepianu i że goście zaczynają się kłaniać i żegnać...

Pogasły światła w całej willi. Na dole, w sieni pali się jedyna, wielka latarnia. Noc bezksiężycowa ob-

jęła dolinę Arna. W gąszczach lśnią *luciole*, robaczki świętojańskie, podobne do błyskawic złotych. Pachną mocno róże i pomarańcze. Powietrze jest ciężkie, omdlałe rozkoszą; rozkosz czai się w każdym liściu, w każdym cieniu tej nocy włoskiej.

Mistrz leży na fotelu biegunowym, z głową odrzuconą na poduszki. Patrzy w jarzące się daleko półkolem punkty ogniste: to latarnie na Lungarno. Idą migotliwym szeregiem od Cascin, poprzez wszystkie mosty aż do Ponte di Ferro i gubią się za zakrętem.

Florencja... Tam gwar, ludzie.

— Zośka...

— Słucham — odparła, podbiegając.

Była już w białej sukni nocnej, z warkoczami opuszczonemi na plecy.

— Nie śpisz jeszcze?

— Nie.

— Czuję się niedobrze. Jestem ociężała. Chodźmy na dół, pospacerujemy.

Wstał, z trudnością wyprostowując nogi. Zośka wzięła go pod rękę, podparła silnie, sprowadziła ze schodów. Zaczęli, tak jak codzień, obchodzić gazon z różami. Chodzili miarowo, to w gęstym cieniu starych dębów, to w ostrej jasności, wiszącej w sieni latarni.

— Może już dosyć?

— Nie. Jeszcze mi ciężko.

Gdzieś w oddali szczekał pies, w jednej z tych wio-

sek, rozrzuconych na prawo i lewo, pomiędzy winnicami; wiosek, co były kolebką przedziwnych artystów, od nich się nazywających: Maiano, Settignano, Fiesole...

Mistrz postękiwał ciężko.

— To sardyńki, napewno. Miss Massie mi je prawie gwałtem nałożyła na talerz. Ach, te dwa koczkodany amerykańskie! a jeszcze ta mrs Houghton, co codziennie goli wąsy. Takie kobiety powinny być wysyłane na bezludne wyspy. Obraza boska. A one jeszcze zamierzają zwalić się nam na kark tutaj!

— Może nie przyjadą?

— Daj Boże. Lepiej nam ze sobą, we dwoje, prawda Wiosenko?

— Prawda.

— A ten... włoski fircyk o wołowych oczach, co ci mówił?

— Och, nic...

— Rozmawialiście przecież na balkonie?

— Ech, tylko tak. Pytał mi się, czemu siedzę sama?

— A ty?

— Wstałam i odeszłam.

— Dobrze zrobiłaś.

Przechodzili koło sieni. Światło latarni złocono policzki jej, obciągnięte gładką skórą, czoło, gdzie nie ciemnieje ani jedna zmarszczka, usta wiecznie wilgotne i oczy błyszczące młodą radością życia. Jaka

ona młoda, Boże jaka młoda! Taka nie boi się światła słonecznego, ani zmęczenia, ani reumatyzmu.

Wziął twarz jej w dwa palce przyciągnął do swojej:

— Wiosenko ty moja.

— A co?

Wodził ręką po jej czole, jakby chciał pochwyć to, co się tam ukrywa. Jak niegdyś, wtedy gdy nie miał jej jeszcze, gdy mu była obcym, nieznanym światem, pytał:

— Co czujesz? Co myślisz?

I, jak niegdyś, Zośka uśmiechała się i milczała.

— Powiedz! Wiosenko!

— Kiedy nie wiem, co powiedzieć.

— Dobrze ci ze mną?

— Dobrze.

— Nie nudny? Nie stary?

— Nie.

— Nie tęsknisz do domu?

Zmarszczyły się równe brwi Zośki.

Dom... ojciec, matka, ciotka... Tak dawno nie o nich nie wie. Nie umieją pisać... i czyżby potrafili posłać list tak daleko? Aż do Włoch?

— Słuchaj, gdy zostaniesz sławną, nie odepchniesz mnie?

— Och, co znowu!

— Postanowiłem, wiesz, już napewno. Stary mistrz nie jest egoistą. Jutro pojedziemy do impre-

sarja, który zajmie się sprawą twych występów. Dobrze?

— Dobrze.

— Cieszysz się?

— Cieszę...

— No, to dobranoc Wiosenko. Już mi lepiej, idę spać...

Od progu odwrócił się jeszcze i w kształcie pożegnania rzucił:

— A pamiętaj, że się mówi agrest, nie angrest.

Zośka patrzyła za nim i gdy znikł już we drzwiach, odetchnęła z ulgą i wbiegła do swego pokoju, zamykając się na klucz...

Jednak, nazajutrz nie pojechali do impresarja.

Mistrz znowu wołał zapomnieć o solennej obietnicy.

Aby ją rozerwać woził ją po okolicy, pokazywał i tłumaczył piękności Florencji. Oko gubiło się w tym nadmiarze i powoli wracało do jakiegoś szczegółu zapamiętanego, do motywu ulubionego; do jakiegoś okna poprzedzianego filarkami; do jakiejś kolumny o przedziwnej głowicy, jakby wyrosłej z pod dłuta Sansowina; do jakichś oddrzwiz herbami... Oto San Miniato w lśnieniu mozaik, w śniegu marmurów nad gotyckimi cyprysami. Oto Ponte Vecchio, pstry klejnot z kramami płatnerzy i złotników, oto domy wzdłuż Borgo San Jacopo,

wyrastające wprost z wody melancholją wykuszów i krążganków, prawiące o dawnych sprawach Florencji, o wydarzeniach dumnej, a tak zazdrośnie swobód swych strzegącej Republiki, o słodkolicych madonnach patrycjuszkach z domu Strozzi i Tornabuoni, o brzęku mandolin i chrzęście oręża, o poematach krwi i miłości. Tędy, krytą galerją nad morzem przemykała Bianca Cappello do księżęcego kochanka...

Było po burzy. Chmury wisiały płachtami nisko nad ziemią. W ciemnych wodach Arna odbijały się domostwa powykrzywiane i pokurczone jak straszliwe szyderstwo. Wielki obłok okrwawiał je barwami innego świata. Coś niewypowiedzianie pełnego grozy było w nieruchomej wodzie. Dante musiał widzieć taki obraz, gdy krążył po Lungarno ze spuszczoną głową i kiedy mu się rodzić poczęły pierwsze strofy jego boskiego szyderstwa.

Amerykanki towarzyszyły im wszędzie jak zło konieczne. Zachwycaly się podług wskazówek Baedekera, podnosiły lornetki i wykrzykiwały jak podrażnione gąsienice:

— *Ah, how nice! Botticelli, Perugino! Look this Madonna! Look this Bambino!*

Były wniebowzięte, w fazie chronicznego entuzjazmu. Wszystko było dla nich cudowne: Florencja, i niebo jej i Zośka i głos Zośki. Fotografowały na prawo i lewo, co się tylko dało: pomnik księcia indu-

skiego w Cascinach i marmurowe *porcellino* przy Mercato Nuovo i mistrza... Znają wszystkich wielkich ludzi i uwieczniają się z nimi. Jedna zdejmowała się przed laty z nieboszczykiem Tołstojem, druga ze Zbyszkiem Cyganiewiczem...

Rozkołysały się w nich żądze niesamowite. Pragnęły wycieczek nocnych, kolacji z szampanem. Wspomniały tego pięknego hrabiego włoskiego: taki miły. Czemu go się nigdy nie zaprasza?

— Moja siostrzenica nie lubi towarzystwa młodych mężczyzn!

— Nie lubię towarzystwa młodych mężczyzn — potwierdziła Zośka.

Pewnego dnia, po trudach artystycznych zasiedli zbożnie na Piazza Vittorio Emanuele, przed kawiarnią. Zaraz zjawily się przed nimi pełne tace: *cassate*, *pezzi duri*, *granita*. Słuchali muzyki i patrzyli na urocze *ragazze fiorentine*, owe opiewane przez Guida da Verona szwaczuchny, sunące do taktu z gracją gazel. Mrs Houghton oznajmiła, że się przejdzie trochę po *via Tornabuoni*, po sklepach. Wstała i wzięła Zośkę pod rękę.

Mistrz patrzył za niemi, póki nie znikły mu z oczu na zakręcie. Z pieczołowitością matki wiódł wzrokiem za każdym ruchem Zośki. W białych muślinach wyglądała jak świeżo rozkwitła jabłonka.

Wszystkie te skarby, ukryte pod niewinną bielą świeżo upadłego śniegu, należą do niego. Tryskał mu

z duszy wyśpiew radosny, gędząc o nowej nadziei, o odrodzonych uludach, o krajach zaczarowanych, gdzie każdy krok jest cudem. Za dużo szczęścia, za dużo! Ale gdzie jest ona? Czemu nie wraca?

Nie słyszał, co prawda wierna miss Massie. Natężonym wzrokiem wypatrywał jej powrotu. Czemu nie wychodzi z za tego węgła, miły Boże? kogo one tam spotkały? z kim ją ujrzy znowu? I kiedy zobczył je wracające spokojnie pod rękę, tak jak odeszły, rozspiewał się w nim huragan radości: byłby całował wszystkich, nawet tę wąsatą potworę, mrs Houghton.

Miss Massie biadała na nowe formalności, przez które nie wypłacono jej pieniędzy, choć okazywała paszport. Czek jak złoto, a ona zostanie bez grosza! Mrs Houghton zawtórowała jej zaraz lepiej dostawać pieniądze telegraficznie, niż przez czeki. Rozpoczęło się żywe *colloquium*, w którym i mistrz wziął udział.

Zośka nie dostawała żadnych czeków, więc milczała. W toku rozmowy, która przerzuciła się na inne kwestje, przyszło jej czasem na myśl coś wesołego, nawet dowcipnego. Mogłaby powiedzieć, ale nigdy nie wiedziała, czy to wypada, czy to przyzwoite? Mistrza nie podobna pytać teraz, zresztą, uczył zawsze, że lepiej powiedzieć o sto słów za mało, niż jedno za dużo. Popielalo w niej wszystko, gdy w milczeniu przysłuchiwała się leniwej gawędce,

snującej się przy lodach, pod melodję modnych tańców lub piosnek neapolitańskich...

Nagle z via Calzaioli wyszła młoda para. Wiało od nich o trzy mile podróżą poślubną. Mieli nowiuśkie obrączki i szaty prosto z igły, najczystsze-go szyku warszawskiego. Trzymali się za ręce i kłócili:

— Tędy do Uffizi (wymawiali „Ufici“).

— Nie, tędy, na lewo.

— Ty zawsze się upierasz.

— Bo wiem.

...Pan Adam i panna Stefanja!

Mistrz odwrócił się szybko, zasłaniając twarz przed nimi.

Zośka patrzyła w nich, jak w paszczę węża. Siedziała spokojnie i jak zawsze na jej ładnej, nieruchomej twarzyczce nic się nie odbijało. Wewnętrznie jednak była poruszona straszliwie.

Pierwszym jej ruchem było: rzucić się do ucieczki, jak zwierzę postraszone. Zdawało jej się, że przeżywa raz jeszcze z niesłychanej oddali ból swój najkrwawszy. Siedziała, bo sił nie miała...

Deliberowali, deliberowali, aż w końcu zawrócili z powrotem ku via Calzaioli, przeszedłszy obok kryjącego twarz mistrza. Spojrzeli mimochodem na nią.

Spojrzeli i nie poznali: któżby domyślił się dawnej gęsiarki w tej strojnej pannie?

Patrzyła na samo dno źrenic tego, który pierwszy pił jej wstyd dziewiczy. Jakże przelotnym epizodem była w jego życiu! Ani cienia przecucia, że jest tu, obok niego. Kto wie nawet, czyby przypomniał sobie, gdyby krzyknęła:

— Jestem ta sama Zośka, którą pan trafił w policzek piłką i którą potem uwiódł, jak się zrywa owoc z drzewa.

Pomału przyszła świadomość, że ani pani Wrońska, ani pani dziedziczka, ani nikt na świecie nie ma już władzy nad nią. Podniosła głowę śmiejąc, zupełnie śmiało, ogarnęła ją pewna czułość. Oto bajka ze stron rodzinnych, wieść od swoich. Co robi ojciec? matka? Gdyby tak pobiegła za nimi: „przepraszam państwa...” Ale czy oni wiedzą? co ich obchodzi Koniuch? Pani Stefanja nie ma pojęcia o istnieniu Koniucha...

Imponowała jej strasznie. Choć parafjańsko wygląda na tle Florencji, i Zośka ubrana w Paryżu daleko bardziej ma pozór światowy, jednakże było od niej zawsze panią dziedziczką, Pleyelem, dużym salonem w Osinach. Podobna była w ruchu głowy, w uśmiechu, w tysiącu nieuchwytnych szczegółów do różnych hrabianek włoskich, do Amerykanek i innych osób, z którymi Zośka się tu zetknęła, i z którymi obcowanie tak było trudne. Ma manierę panienki, chowanej pod czułym okiem matki. Każdy odruch jej jest taktowny i właściwy: nie

zastanawia się nad każdym słowem, czy wolno je powiedzieć, bo ma je we krwi. Ona, tak jak tamte. Różna od nich rasą i językiem, jest im przecież tyśiąckroć bliższa, niż Zośce...

Zośka poczuła coś, jakby ją oddalano od tych wszystkich osób otaczających.

Niech zaczepi je policjant, mogą bez zająknięcia wyrecytować imię, nazwisko, przynależność rodzinną, stan posiadania, czeki na bank, położenie w społeczeństwie, pokrewieństwa, ciotki, kuzynki. Mają papiery w porządku, życie wyraźnie określone, wszystko na jaśni.

Czemże jest wobec nich Zośka, zapisana pod cudzym nazwiskiem, jako siostrzenica obcego człowieka?

Przemyka tylko między ludźmi, skazana na rumieńce, niedomówienia, usuwanie w cień, przemilczanie kwestyj drażliwych. Chce zapomnieć o przeszłości, zapomina, a ona wraca i policzkuje, policzkuje...

Miss Massie spojrzała na nią z uśmiechem i, kładąc rękę na jej dłoni, zapytała:

— Czemuż to miss Wiosenka taka zamysłona?

Zośce zaraz przyszło na myśl:

Czyżby miss Massie trzymała ją tak czule za rękę, gdyby jej przez myśl przemknęło... Ach, nie trzeba nawet myśleć o tem, aby nie wyczytano w myślach: że Wiosenka to jest Zośka bez nazwi-

ska, bo czyż Koniuch może figurować na liście światowej? Ta Zośka, wychowana w czworaku, gdzie od rana do nocy kłócono się i obrzucano najgrubszymi wymysłami; wychowana we wszystkich tradycjach karczmy. Mówi po francusku, ale ileż razy jeszcze podnosi do ust nóż zamiast widelca i dopiero karcący wzrok mistrza...

Gdyby teraz pani Stefanja wróciła i zawołała: „Zośka!“ Ach, cóżby uczyniła? Pochylała się nad filiżanką i, kryjąc rumieniec, spożywała chłodnik powoli, z gracją, jak ją mistrz nauczył. Mistrz zawsze mówi, że w razach drażliwych trzeba operować bezczelnością. Odpowiadać śmiało i urywać rozmowę. Ach, to tak trudno. Rumieniec zawsze ją zdradzi... Musi wysilać się na zawile odpowiedzi, które są udręką jej skąpej wyobraźni.

Nadchodziła pora, kiedy świat modny gromadzi się w kawiarniach, po przejażdżkach, konno lub powozem. Tu i owdzie zasiadali już młodzi eleganci florenccy i niepokojące monokle zwracali w ich stronę. Mistrz zaniepokoił się także i dał znak samochodowi.

— Już? Tak prędko... — ubolewały wielbicielki.

— Czas nam do domu, prawda, Wiosenko?

— Tak — odparła, wsiadając niezwłocznie do pojazdu.

Wrócili uroczą drogą poprzez kampanję florencką.

Uśmiechały się wzgórza, śpiewające dzwonami kościołów o wiekuistej piękności życia, tego najwyższego daru Boga. W ogrodach kwitły drzewa jak z bajki, obsypane puchem różowym, złotym, fioletowym. Róże przewieszały się przez murki i płoty, czepiały dróg i ścieżyn, wyglądały zewsząd natrętnie i ciekawie, jakby prosząc: zerwij mnie, zerwij. Fale zapachów o sile, nieznannej niebu północy, przelewały się powietrzem, leciały ze źródeł niewiadomych, niby obietnica radosna, niby baśń o nieznanem. Nieznane, o Boże. Nad fortecą Belwederu migotała gwiazda przedziwnie jasna. Świeciły okna w domkach, zbiegających z góry ku Arnu, jak schody kapryśne. Długie słupy ognia łamały się o podnóża mostów, rozpryskując się na wszystkie strony po wodzie. Zdawało się, że chichocze w niej ów djabełek z legendy.

Willa cicha i milcząca przyjęła ich hymnem swych okien nieoświetlonych.

Zośka siadła na balkonie, podpierając głowę rękami. Wsluchiwała się w głosy dalekie.

Tam, gdzie te łuny, jest miasto, muzyka, życie... Żyć! żyć! Nie ten kołowrót codzienny: śniadanie, obiad, kolacja...

— Jakaś ty była ładna tam, na placu... Wiosenko moja.

Mistrz usiadł przy niej. Popatrzył jej w oczy pytająco:

— Co tobie?

Zośka wzruszyła ramionami.

Nie umie powiedzieć. Wspomina różne poznane contessiny, które śpią teraz spokojnie w swych pokojach dziewiczych. Wspomina ich matki uśmiechnięte dobrotliwie, podobne do pani dziedziczki z Osin, które czuwają, aby ich latorośle mogły żyć i kochać swobodnie. Jakże łatwe jest ich życie. Nie potrzebują nic ukrywać przed ludźmi, niczego się wstydzić...

— Dlaczego? Dlaczego, o mój Boże? Cóżem ja winna?

I z gniewem, z żalem zawołała:

— Po co mnie wyciągano z tego, czem byłam, w czym wyrosłam? Po co? Ucieknę, ucieknę!

— Wiosenko moja...

— Niech mnie pan nie trzyma. Duszę się w tych kłamstwach, duszę się.

Wziął jej ręce w swe piękne ręce wirtuoza.

— Jesteś słońcem mojem. Czembym był bez ciebie! Bądź dobra. Przelej we mnie młodość swoją. Ty jedna możesz wszystko ze mną. Ty jedna możesz mnie odrodzić.

— Puść mnie, nie zatrzymuj.

— Nie, nie, nie mów tego! Wszystko... tylko nie to. Bez ciebie niema życia.

Patrzyła i szlochała. On taki dobry! Tak go jej żal! Wszystko robi dla niej. I taki artysta! Jeszcze

gdy była dziewczyną od prosiąt, ręce te cudowne poprowadziły ją w świat zaczarowany. Wszystkie chwile jasne i górne, wszystkie uniesienia najczystszej rozkoszy poznała za sprawą tych rąk. Ach, gdybyż nie chciały jej pieścić! Gdyby nie te zmarszczki! Czemu jest taka niegodziwa? Niewdzięczna dla pana Stanisława, niewdzięczna dla mistrza, niewdzięczna dla każdego, kto był dobry dla niej! A gdyby stanął tutaj ten, kto ją tak ciężko skrzywdził — pan Adam...

W tem zmaganiu się z sobą stawała wobec labiryntu bez wyjścia, wobec czarnej, bezdennej otchłani. Niema ratunku! Musi być przeklęta, zawsze, zawsze...

Niewola, niewola... — szeptała ponuro.

Zatulona w najciemniejszy kąt balkonu, płakała: „Jaka ja biedna sierota“... Tak jak w *Halce*: „Jakaż to biedna dziewczyna“.

Głosem, drgającym od łez, śpiewała teraz, jak przed laty...

— Uciec stąd, uciec!

W głębi swej pustej sypialni mistrz szeptał:

— Myślałem, że ci dobrze będzie ze mną. Chciałem przebiegać z tobą lądy i morza. Ale ja to kwiat egzotyczny, któremu trzeba często zmieniać ziemię. Ty zaś jesteś jak drzewo, które żyć może tylko w swojej glebie.

Ogarniały ją pokusy niesamowite, strzelały do

głowy dzikie pomysły. Raz przebrała się w ubranie męskie i pobiegła do miasta, zaczepiając kobiety po drodze. Zaprowadzono ją do kwestury.

Mistrz wezwany telefonicznie nadbiegł zadyszany i uwolnił ją z opresji. To znów postanowiła przejechać łodzią wodospad na Arnio. Z dziką zuchwałością szukała wciąż czegoś nowego: co wymyślić, czem zadziwić? Niebezpieczeństwo? Przykrości?... Głupstwo, mistrz ją zawsze wyciągnie z kłopotu! Kąsała ją po nocach. Czasami w chwilach opamiętania mruczała:

— Oho, znów djabeł zaczyna mnie kusić!

Niemocna była walczyć. Djabeł zwracał jej uwagę na zmarszczki mistrza, na jego chód chwiejny, na pewne starcze nawyki. Wpadała w pasję. Robiła mu na przekór, miotała potokiem obelg, które zasłyszała na Podwalu. Zawsze trąci Podwalem, gdy mówi po polsku, choć po francusku wyraża się wytwornie. Im bardziej mistrz ulega, tem większa wściekłość ją ogarnia. Mści się na nim, sama nie wie za co. Jak tygrysica, broniąca małych, walczy zaciekle o coś, czego nie umie nazwać.

Raz przejeżdżali przez Borgo San Frediano.

Zaułki cuchnęły czosnkiem i kwaśnem winem. Na progach siedziały kobiety, podobne do wiedźm. Coraz to któraś ucierała palcami nos przybiegającemu do niej dziecku. Młode pokolenia przewalały się na bruku jak psiaki pomiędzy śmieciem i od-

padkami. W zakopconych fiaschetteriach rozlegał się wrzask pijaków i brzęk tłuczonych butelek. Mistrz, wytwornie przykładając chusteczkę do nosa, naglił o wyjechanie z tych nieznanych zakątków Florencji, ale Zośka, stanąwszy w powozie, raz po raz wybuchała śmiechem. W śmiechu tym dźwięczały tryumf, wściekłość i pogarda. Toć to jest jej sfera! Toć tak właśnie się ona wychowała, tak żyła długie, długie lata! Ta starowina czarna od brudu, zgarbiona pod ciężarem szmat, o rękach jak u mały, wygląda właśnie jak jej matka i jak wyglądałaby ona, ona sama, gdyby nie był przyszedł pan, dobry pan...

Wybuchnęła śmiechem urągliwym. Właśnie, ten przypadek, że dobremu panu zasmakowały jej pocałunki! Gdyby nie wiem jak była dobra i cnotliwa, musiałyby skończyć w brudzie i nędzy, tak jak tysiące innych. Tylko przypadek, że dobry pan wziął i płaci rachunki, sukienki, nauczycieli. O potęgo pocałunków! Jak echo Podwala przybłąkało się słowo brutalne, określające rzecz po imieniu...

Mistrz coraz bardziej był bezradny wobec kaprysów ukochanej despotki. Aby tylko nie uciekła! Wezwał już impresarja, pozwolił iść na scenę. Byle tylko została z nim.

Przyjechał impresarjo, nijakie indywiduum o wygolonej twarzy, pofałdowanej skórze i cynicznych

oczach. Na piersiach kołysał mu się krzyż kawalerski i monokl, przyczepiony do grubego sznurka. Mistrza traktował z rewerencją, Zośkę z nieznośną poufałością. Mrużył jedno oko, jakby chcąc widzieć dużo, więcej niż potrzeba i nazywał ją „*ma charmante complice*“. Zośka traktowała go z góry, czem się bynajmniej nie przejmował. Zmienawidziła go odrazu.

Mistrz czuł się źle. Lekarze kazali zaprzestać mu na pewien czas grania, aby uniknąć wzruszeń. Upokorzony patrzył na Zośkę: Idzie, idzie tam, skąd on odchodzi... Idzie, nie oglądając się za siebie...

Wielki księżyc wisiał nad ogrodem. Płochliwe cienie żeglowały przez winnice i *podere*, gdzie kwitły róże. Mistrzowi zdawało się, że dusza jego krąży gdzieś wysoko, ponad tym ogrodem toskańskim, i że patrząc w oczy wieczności, spogląda z pobłażaniem na padół spraw doczesnych. Błogosławi własnej ofierze i całopaleniu. Łzy ciche toczyły się po zwiędłych policzkach. „Oddaję cię światu. Co zrobi on z twej duszy i zdziwionych błękitów spojrzenia? Och, nie myśleć, bo reszta sił uleci“...

Zośka jest artystką... dar Boży ją rozpiera, nie można stawać wpoprzek jej powołaniu, choćby to biedne serce miało pęknąć... Pójdzie tam, gdzie ją woła młodość i talent. Nie można żądać litości od młodości, bo ona tego nie rozumie. Litość przycho-

dzi wtedy, gdy się wiele cierpiało, przychodzi jako pancierz, jako obrona dla własnej słabości...

Zośka w swoim pokoju powtarzała arję z *Aidy* i jednocześnie robiła *manicure*...

Zapadał wieczór. Słońce utonęło gdzieś za dalekiem morzem Śródziemnem. Okrwawione obłoki pały na niebie, Arno świeciło jak szyba metalowa. Na wzgórzach okolicznych dzwoniło na Anioł Pański. Kościoły, otoczone cyprysami, oddawały sobie nawzajem pozdrowienie anielskie. Plotły się wstęgi muzyki i opasywały powietrze dokoła...

Mistrz siedział u rozwartych drzwi balkonu. Znużenie zamykało mu powieki. Zdawało mu się, że w złotym mroku przewiewa kształt jakiś znany. Przywidzenie?... Jest żeś to ty naprawdę?... Ty, którą kochałem i porzuciłem?

Przyszłaś, pomimo mej zdrady... wróciłaś, czuwać nademną, jak dawno, dawno temu... Przyszłaś po mnie, ty dobra, ty przebacząca...

Chwiejnym krokiem doszedł do fortepianu.

Zośka przypadła i zdjęła mu ręce z klawiszy.

— Doktor zabronił...

Uśmiechnięty łagodnie szepnął:

— Zostaw mnie, Zosieńko...

Wychudłe palce głaskały klawisze, jak najczulszą kochankę. Odklinały uroki, wyczarowywały widzenia za widzeniami. Baśnie Florencji... W szkarłatnych

mrokach nad Arnem ożywały księżniczki z domów Strozzi i Tornabuoni, spacerujące po krążgankach kamiennych... Młodzież w czapkach z pióropuszcami walczyła na turniejach. Karoce poźłociste unosiły świetny orszak Wawrzyńca Wspaniałego ku pałacowi Pitti, na rozprawy o sztukach pięknych i filozofji... Po zbudowanym dla niej przejściu nad Ponte Vecchio przemykała jasnowłosa Wenecjanka, Bianca Cappello, ukochana przez wielkiego księcia, który ją zabrał mężowi... A nad wszystkim błąkał się duch stęskniony Elżbiety Browning, poetki innej rasy, która z pod zimnego nieba swego przyszła, by tu umrzeć...

I powoli z duszy Zośki odplynęły męty, ukoił się bezład, uwarstwił spokój niezaznany, cudowny...

Znów jest dzieckiem w Woli Gałęskiej. Nie ma nic z tego, co potem, jak szmaty brudne, przyglęło w życiu. Opada wszystko złe. Jest sama, jasna, czysta, szczęśliwa. Biegnie, dzieciak bosy, z rozwartemi oczyma na przyjęcie cudu...

O łąki, kwietne łąki mego dzieciństwa...

O, rozchwiane tataraki majowe i stawy zarosłe rzęsą i pastusze zawodzenie na fujarce, o kochaniu, oj da, dana...

Zaczyna rozumieć coś, o czym nigdy nie pomyślała, jakiś wewnętrzny, głęboki sens życia, który jawi się w przeblaskach i woła: „patrz“... Chwila je-

szcze, a uchwycisz mnie. Jeszcze chwila, a będzie wiedziała...

Ostatni akord, przedłużony pedałem, dogasał w głębi fortepianu i rozesnuwał się po ciemnych komnatach willi Medycejskiej.

Mistrz trzymał rękę na fortepianie. Drugą położył na głowie Zośki, jakgdyby przekazywał jej snutą przez tyle lat nić miłości i tęsknoty.

— Wiosenko... byłaś szczęściem mojem i weselem, i błogosławię cię za to...

Pochyliła się przed nim korna i uległa wobec mistrza, sprawcy cudów... On uśmiechał się ciągle do melodyj, tylko sobie już słyszalnych... gdzieś za ciemnym oknem.

Wzrok zachodził mu mgłą, oczy w słup stanęły. Ręka, leżąca na głowie Zośki, zaczęła ciężyc jak ołów. Nagle chybnął się w tył i zwałił na ziemię. Piękna głowa upadła bezwładnie w nimbie srebrnych, rozwianych włosów. Leżał cichy i jeszcze wytworny w tym ostatnim śnie... i jeszcze patrzył na nią...

Gdy wagon ze srebrną, obsypaną kwiatami trumną wyruszył ze stacji, gdy przeredziły się tłumy, a ludzie o nazwiskach znanych na obu półkulach odprowadzili do karety wdowę, przybyłą z Polski po ciało mistrza — Zośka, sama, na opustoszałym dworcu wybuchała płaczem.

Przy formalnościach pogrzebu wyszły na jaw

wszystkie drażliwe szczegóły. Amerykanki, które może niejednego się domyślały przedtem, teraz, kiedy rzecz przybrała rozmiary skandalu, przestały znać ją odrazu. Właściciel willi uwiadomił Zośkę, że musi mieć posiadłość natychmiast z powrotem i że gotów jej zapłacić, ile zechce, byle się wyniosła. Wielkości o sławnych nazwiskach stały się znów mytem odległym i niedościgłym.

Jedynie impresarjo o cynicznej twarzy zaproponował, że jeżeli zechce z nim zamieszkać, dbać będzie o jej karierę. Z tym głosem, z tą buzią, no, i z jego doświadczeniem... Bocconi zawsze dotrzymuje słowa. Niejedna ma chleb przez niego. Jej obiecuje karierę — i dotrzyma!

Pokazała mu drzwi zimno.

— Znałem już takie księżniczki — zagwizdał, wcale nieobrażony, wciskając monokl w oko. — Przyjdzie koza do woza.

Ujęła walizkę, swoją własność jedyną i stanąwszy przed dworcem, myślała:

— Co teraz?

Powlokła się powoli przez miasto, ku Piazzale. Dokoła widniały w słońcu wzgórza okoliczne uwieńczone zamkami. U stóp wzgórza leżała Florencja z harmonją wież i kościołów, z przepychem pałaców, z lśnieniem marmurów i mozaikowych obrazów za staremi cyprysami. Leżał widok, jakby odlany z brązu przez nieomylnego mistrza: tak dosko-

nały, że nic już dodać i nic ująć z niego nie trzeba było.

Dziwna, nieznana rozkosz patrzenia obejmowała członki. Teraz zaczynała rozumieć zachwyty mistrza i Amerykanek. Zdawało jej się, że ogarnia ją fala ciepła, ciepła kąpiel... Wszystko w duszy uspakajało się: ciernie i udręki wydawały się drobne, nic nie znaczące. Wszystkie nabolące urazy i krzywdy przekreśla uśmiech tego nieba, tego słońca.

I dusza pomału czyniła się wesola i pogodna, jak cały ten dokoła świat italski, ubłogosławiony pięknem dzieł Boga i ludzi.

Gdy fundusze były na wyczerpaniu przeniosła się z pensjonatu do małego pokoiku na via Ghibellina, gdzie pod skrzydłami Panteonu florenckiego, kościoła Santa Croce tuła się tyłu zbłąkanych osobników ludzkich.

Rozczochrana baba o wyglądzie megery, której się bała trochę, lecz która miała złote serce Włoszki, opowiedziała jej z miejsca całe dzieje swego życia.

Ta fotografia na ścianie to mąż jej, zmarły w domu obłąkanych.

Straszna fotografia! Twarz zarosła, oczy cyniczne, uśmiech bezczelny, wszystko tak wyogromnione, jak się nie spotyka normalnie. Była w niej groza

bólu i lęku, na który brak wyrazu, coś z tamtego brzegu, gdzie żywi nie dotarli...

Pod fotografią czerniały wiersze, ułożone i napisane przez warjata:

Kiedym miał pełne wory,
byłem czczony i podziwiany,
a kiedy zostałem biedny,
każdy gra przy mnie na skrzypcach.
Kici, kici, idź do ogrodu,
narwij kwiatów na ucztę,
kwiatów, kwiatów, kwiatów,
purpurowych, szkarłatnych, czerwonych
kwiatów mi narwij,
duszę się, dławie.
Napróžno, napróžno!
Gdy grzmi i błyska, żaby muszą rechotać...

To napisał mąż Alduiny. Przyjedź prędko, bo gotów zamrzeć z tęsknoty, a tu cmentarza niema, tożby był kram dopiero!

Uciekała ze swego pokoju, aby nie widzieć twarzy tej i nie czytać fatalnych wierszy: pociągały jak otchłań, od której mimo odrazy nie można się oderwać.

Chodziła po mieście i za miastem, sama... Ten i ów Włoch o gorącej krwi zaczął ładną dziewczynę; koszula jest brudna, ręce od łokcia niedomyte, ale palce zawsze różowe i złoty łańcuch błyszczący na szyji i uśmiech dystyngowany rozchyła usta. Wy-

gląda jak pani Stefanja, tyśiąckroć lepiej: nie ma tego akcentu parafjańskiego i zażenowanej miny jak w obcym mieście. Imponowałaby niezawodnie pani Stefanji: jest przecież u siebie, we Florencji!

Myśli przewijały się w niej i wykuwały sobie z trudem drogę poprzez nowe światy.

Raz wpadła na Bocconi'ego i nie zauważyłaby go, pogrążona w sobie, ale on doszedł i zapytał, co porabia?

— Nic.

— Z kim?

— Sama.

— Oho, nie mnie to opowiadać!

Zośka się oburzyła.

— Zresztą — dodał, obejrzawszy ją uważnie — może to i prawda. Buzia zeszczupłała na obiadkach po pół franka. Obcasiki też się już wykrzywiły... No, chodźmy na kawę, albo na kolację; dać pokój portmonetce, ja płacę. Płacę za wszystko. Nie? Nie zawrzemy paktu i tym razem?

Przypomniał Zośce felczera z Osin. Taki sam uśmiech obleśny... ach, jacy oni wszyscy podobni, mimo odległości czasu, miejsca, rasy!

— Nie chce pan wierzyć, że jestem uczciwą dziewczyną?

— Eh, *signorina mia* — odparł — zna pani przysłowie neapolitańskie: „*I cani si vedono, i gatti si*

sentono, gli uomini si suppongono“? (Psy się widzi, koty się słyszy, ludzi się podejrzewa).

Włożył monokl i patrzył na nią, śmiejąc się. Teraz, kiedy go poznała lepiej, nie wydawał się jej tak odstręczający. W gruncie, przebijało w nim dużo włoskiej dobroduszości pod straszliwymi pozorami.

— Na wszelki wypadek ma tu pani mój adres — dodał, wciskając jej w rękę bilet wizytowy.

— Nie chcę.

— Brać, brać! przecież to nie ukąsi.

Dawno poszły już do lombardu klejnoty od mistrza. Zastawia ostatnią sukienkę. Nic to, nic. Aby dalej. Aby nie myśleć. Nie ma wspomnień, nie ma sił na cierpienie. Spokój, nieprzeparty czar słońca i życia bez jutra...

Już i nie myje się tak starannie i nie czesze modnie. Lenistwo przeistacza ją w córkę ludu. Odpadają niepotrzebne nawyki cywilizacji. Kwitną znów woskowce na Piazzale Michelangelo i róże przrzucają się przez parkany. Pachnie znów powietrze, jak obietnica radosna. Powiewne obłoki koloru srebra płyną po niebie. Och, jakichś ramion, któreby tuliły, jakichś ust, któreby całowały, całowały do zatracenia, do śmierci...

— Wołam cię, niezaleziony... Wołam cię, nieznanany... Czekam cię w przepychu mych lat dwudziestu, które nie znały miłości. Zabawka panicza,

kochanka starego mistrza czekam na ciebie, jak na prawdę, jak na przeznaczenie! Dziś odeszło wszystko, co mnie dusiło i krępowało. Sama jestem, wolna jak powietrze, dam ci wszystko, co chowałam przed innymi, czekając na ciebie.

Wolność nieograniczona jak morze, żadnych oczekiwań, zobowiązań... Cóż, że już brak pieniędzy na mydło, że gospodyni każe opuścić pokoik, od dawna niezapłacony?

Płacz, poczciwa baba, żal jej *signoriny*, co tak ładnie śpiewa, że rzuciłaby wszelką robotę i nic, tylko słuchała, ale co robić? Musi żyć i synowi posyłać.

Dobra ulica, przytulna ulica. Nad głową ciepłe niebo nocy. Zapachy mocniej w miarę, jak posuwają się godziny. Jednakże, gdy zamknęły się już ostatnie szynki i kawiarnie i głuche cienie zaległy opustoszałe place, ogarnia Zośkę niepokój.

Co to będzie? I zaraz uspokaja myśl dobra:

— Cóż mi się stać może? Nic stracić nie mogę. Nie mam nic!

Cienie kładą się potwornie długie pod portykami. Na *via dei Servi* krąży niespokojnie jakiś kot zbłąkany. Dobięga do każdych drzwi kolejno, wciska mały nosek, obwąchuje, próbuje łapką; ach, zamknięte bezlitośnie. Podnosi na nią oczy błagające: „Ty, która jesteś wszechpotężna, zaprowadź mnie do mego domu!”

O, trwogo zwierzęcia bezdomnego. O, oczy ludzkie z tym wyrazem udręki!

— Tobie gorzej, niż mnie...

Bierze go na rękę i przeciąga palce po prężnym i nerwowym karku. Kot kładzie jej na ramieniu ufny łebek, ale po chwili, jakby złożywszy daninę konwenansom, wraca do swych spraw, wyrывa się, zeskakuje i patrząc na nią z prośbą, miauczy żałośnie. Znow zaczyna krążyć dokoła zamkniętych bram. Tu gdzieś jest jego dom, trafić, mój Boże, trafić, do jednego z tych kamiennych gniazd ludzkich!

— Gdybym miała dom, wzięłabym cię z sobą, kiziu, lecz dziś? Dokąd cię poniosę? Ile dobrych uczynków możnaby zrobić, gdyby ci, co mogą, wiedzieli... Mówi przysłowie toskańskie: *Chi po, non vo; chi vo, non po... Chi sa, non fa... chi fa, non sa... e cosi el mundo mal va...*

„Spotkałem cię jak sen
mych niespokojnych dni...

Ach, nie spotkałam, nie spotkałam... Nie przeszedłeś moją drogą, ty, w którego ramionach zaznałabym spokoju i słodczy.

I po co to wszystko było? Po co? Aby znaleźć się na bruku Florencji?...

Daleko, na Piazza San Firenze turkocze fiakr. Zbliża się miarowo, ospale, bez pośpiechu. Jest te-

raz przed Signorią, wynurza się z ościeży portyków, jakby wiozł coś. Wjeżdża na Lungarno. Zośka oparła się o murek i patrzy z zapartym oddechem. Tak niegdyś, niegdyś, z głębi zieleni wiosennej wytaczał się wolant, co wiozł jej dołą... Tego, który pierwszy ją posiadał i nie pamiętał nawet jej twarzy...

Za chwilę przejedzie tu, stanie przed nią...

Przejechał. Nie stanął. Nic nie przywiózł.

Bije godzina strasznie późna. Śpi miasto. Śpi Palazzo Vecchio, śpi San Miniato między cyprysami. Pogasły światła w Belwederze, pogasły latarnie na Lungarno. Chwieją się cienie gałęzi, jak kapryśne rysunki, uciekające płochliwie za powiewem wiatru. Już na niebie blednącem zaznacza się pierwszy zwiastun brzasku.

Przechodzi znowu koło pałacu, gdzie spotkała kota bezdomnego. Kotek kołuje jeszcze obłądnie, ale przez tę noc poczynił snąć wiele strasznych doświadczeń, bo gdy chce go wziąć na rękę, odskakuje z parsknięciem.

— Zupełnie jak ja... Gdy widzę policjanta zdaleka, uciekam, by nie zapytał, gdzie mieszkam.

Gdy otwierają się kościoły, Zośka wchodzi i klęka przed ołtarzem.

Po pierwszej nocy, spędzonej na ulicy...

Kościół jest pusty jeszcze. Z obrazów patrzą Madonny Cimabuego w hieratycznych faldach szat zło-

conych lub uśmiechają się przesłodkie dziewice Rosselli'ego z marmurowych medaljonów.

U wejścia rozlegają się naraz liczne kroki.

Chłopi, co przybyli na targ, wstępują po drodze pokłonić się Panu Bogu. Jeden z nich, przechodząc koło Zośki, zatrzymuje się i patrzy na nią. Zośka nerwowo zatula się w szal i odwraca oczy. Każdy mężczyzna to wróg, a teraz jeszcze, kiedy nie ma domu, gdzieby się zaszyć...

— Per Bacco, to chyba *signorina*, co mieszkała u nas ze starym panem?

Patrzy na nią przyjazna, pomarszczona od słońca twarz *contadina* z willi.

— Szukaliśmy pani i nie mogliśmy znaleźć. Szukaliśmy po całej Florencji i w kweturze...

— Szukaliście panny Ochylnowskiej... — myśli Zośka i pytająco patrzy na chłopa: — Jakież tam nowe przykrości?...

— Przyszedł do pani list... miałem ci go ja długo za pazuchą, ale nie wiem nawet, czy mam go jeszcze. Bodaj że zgubiłem. Tyle czasu...

Po długich poszukiwaniach znajduje jednak kawałek pomiętego papieru i wręcza Zośce!

Z domu!

Niewprawnem pismem czernieją zblakłe litery:

„W pierwszych słowach mego listu niech będzie pochwalony Jezus Chrystus, na wieki wieków Amen. I kłaniam ci się kochana Córko i donoszę, że z łaski

Pana Boga jesteśmy zdrowi, czego i tobie życzę. I kłaniam się i donoszę kochana Córko, że ojciec umarł na jesieni, przygniotło go i nas chcieli z czworaka wyganiać, ale ciotka poszła prosić pani derektorowej, to nas ostawili. I pogrzeb mu sprawili, nowe ubranie kupili do trumny. I kłaniam ci się i donoszę, że Staśka wzieni do wojska, a żółty Józiek Wojciechoszczak pojechał do Ameryki i naszemu Józkowi przysłał szyfkartę, ale Józiek nie pojedzie, bo musi stawać do losów. I twoja siostra Mańka kłania ci się i donosi, że krawczyk miał się z nią żenić, ale zabrał jej pieniądze i uciekł z czarną Jadźką, mówili, że już jest żeniaty w Rosji. I kłaniam ci się kochana Córko i przyszlj nam co, bo nam bardzo ciężko i świniaki dwa nam zdechły, a krowy już nie mamy, a do ciebie nie wiemy, jak pisać do tej zagranicy. I Polka się kłania kochana Córko. I Janka się kłania kochana Córko. I ja bardzo kaszlę i kłaniam się, kochana Córko. Twoja matka Katarzyna. A ten list to pisał kum Serocki, prześmieszny taki. I kum Serocki się kłania pannie Zofji“...

Opuściła rękę z listem.

Ojciec nie żyje...

Oj - ciec nie ży - je... Zgłoska za zgłoską ryły się te słowa gdzieś pod czaszką. Ta jedna wiadomość ze wszystkich. Lunęła na nią, uderzyła obuchem, przygwoździła do ziemi...

Ojciec nie żyje.

Widzi go przed sobą jak żywego, w kożuchu, zgarbionego, przy bramie lub przy krowach pańskich. Ojczel! Jak umierał, gdzie umierał? Czy myślał o córce dalekiej, prawie zaginionej? Nie wie, nie dowie się nigdy. Może nie miał nawet czasu pomyśleć o niej: tyle ich jest, dzieci, ktoby spamiętał?

Pomału inne zdania listu przedarły się do świadomości. Swoi, jedyni. Od słów ich bije zapachem topoli na wiosnę. Ojciec nie żyje, matka w nędzy, krowy nie mają... Zawsze ta nędzna troska o łyżkę strawy... a ona nic nie może. Księżniczka, co ruszyła w świat po złote runo, nie spełniła obietnic. Kum, prześmieszny kum Serocki jest przy nich, a ona nie. Czemu nie pomyślała o nich nigdy, gdy żył mistrz? Teraz zapóźno. *Chi po, non, vo, non po...*

Biegnie jak zwierz gnany, naoslep pod smaganiem tego nadmiernego bólu, który zwałił się na serce, i wierci, i żre i pali. Ojczel! Gdzie on jest? Co robi? Pójść tam, za nim, zajrzeć za tę zasłonę wiekiustą, oddzielającą życie od śmierci! Co jest tam? Mąż Alduiny możeby wiedział...

Ojczel, ojczel, gdzie jesteś, gdzie?

W jakich rejonach odnajdę cię znowu, po wypiciu całej grozy życia? Czy zobaczę twarz twoją pomarszczoną, i uczciwe oczy, i ręce namozolone, które pracowały, całe życie pracowały dla innych, ciężko i uczciwie?

Bóg... Nic nie pomoże... Bogowie, co im do nas? Bogowie, jak mówi Epikur, mieszkają kędyś w międzyświecie i nie troszczą się o nas — nas porwanych przez wichry przypadku i mechanicznego układu życia.

Przypada twarzą do jakiegoś krzaka w ogrodzie i ryczy, ryczy jak klóte zwierzę. Ulgę robi ten krzyk zwierzęcy. Podnosi się i znów kołuje, jak ów kotek bezdomny, niesie w sobie klątwę.

Zapomnieć! Zdechnąć ze zmęczenia! Byle nie pamiętać... Myśl udręczona odpływa powoli w inną stronę; tysiące trosk pochłaniają uwagę, aż wśród tego, niby małe, ukryte żądęłko, zaczyna coś ryć w pamięci, prześwitywać z za roztargnienia i nagle w całej grozie staje:

— Ojciec umarł...

„Kiedym miał pełne wory,
byłem czczony i podziwiany,
a kiedy zostałem biedny,
każdy gra przy mnie na skrzypcach“.

Bezmyślne słowa warjata biegną za nią i przesładują. Dławi się niemi jak wstrętą strawą. Chwilami nic już nie czuje. Nie cierpi. Dobroczynna natura tworzy coś w rodzaju pancerza ochronnego, gdy się przychodzi nad tę granicę, gdzie cierpienie przekracza miarę wytrzymałości serca. Suche oczy patrzą bez łez w niebo jasne nad marmurowymi pałacami patrycjuszów. Ludzie, wydarzenia... Ha, ha, ha... Mar-

jonetki kręcą się na malutkiej scenie, która ma udawać świat... Ojciec... Osiny... Wszystko, wszystko odpłynęło... Gdzieś, na dalekim wybrzeżu, za morzem niepamięci. Utonęło na dnie otchłani, która nic nie zwraca...

Dokąd mnie niesiecie, kroki, bez celu?

Dokąd mnie niesiecie kroki obłąkane?

Ludzie, tylu ludzi. Gdyby zapukać do nich, powiedzieć: Sama jestem... Umieram z głodu... Bądźcie mi braćmi... wy, którzy macie nadmiar...

Wypędziliby ją z urąganiem. Mają za dużo, ale innemu nie dadzą. Wyrzucą za okno, ale nie dadzą. Jakże twarde są serca ludzi... Twardsze niż skała, niż porfir, niż śmierć... O biedny, drogi mistrz, który spełniał wszystkie jej życzenia...

Sama jest. Wszyscy dokoła jak cienie: nieznani. Tyle twarzy obojętnych, na które nie patrzy się, bo nic się na nich nie zobaczy. Na wsi ludzie dla ludzi są radością odświętną. Każdego przybywającego wita się ze wzruszeniem: Ktoś ty?... Co przynosisz? Każdy niesie świat swój ze sobą.

W mieście ludzie są tylko mrowiem i towarem. Zwraca się na nich uwagę tylko, gdy zawadzają. Zapelniają każde miejsce i trują oddechem czyste powietrze. Brudny cień kładą na każdej radości. Każdy, kto się zbliża do ciebie, ma swoje cele na widoku. W oczach męskich czyta się żądzę — by napaść się tobą i rzucić... Tak jak pan Adam...

— Och niedoczekanie wasze, żebym jeszcze cierpiała!

Grozi komuś, czy czemuś. Potępieńcy w piekle nie cierpieli więcej. Dość! Dość!

Nie wie już, czy to jeszcze ból straszny, czy wszystkie zebrane razem drobne dokuczliwości. Nie chce już myśleć o ojcu, ani o matce, ani o kotku zbląkanym. Dość. Skończyło się. Skończyło się dobre, niech będzie złe. Przed każdym sklepem wiecznie mówić sobie: to nie dla ciebie. Przed każdym kęsem chleba drżeć, czy nie za duży. Ach, po cóż mnie wyciągano z domu, po cóż mój ojciec umierał zdaleka odemnie, jeśli mam ciągle być lachmaniarką? Skończyło się. Kawał dobrego mydła, perfumy Coty i befszytk z winem Chianti — z czego tu robić tragedję? Pan Stanisław pouczał, że niema grzechu, a zresztą co tam grzech, tyle krzyku o nic, raz więcej, raz mniej. — I zresztą...

Nic nie jest straszne, nic nie jest rzeczywiste... Nic to wszystko, nic... Nowa wiosna i silniejszy nad wszystko okrzyk zwierzęcy: żyć! żyć!

Spieczonemi od gorączki ustami Zośka bełkotała jakieś wyrazy. Śmiała się wciąż szydersko, wyzywająco. Zdawało jej się, że czyjaś ręka kieruje jej dłoń. Posłuszna jak zawsze sięgnęła do kieszeni, wyjęła połamany bilet wizytowy, przeczytała uważnie adres i zaczęła iść...

IV.

Przez żółte adamaszkowe zasłony przesącza się światło dnia, w którym wszystko nabiera metalicznych połysków. Złoci się łoże monumentalne i koronkowa pościel i kryształowe flakony i leżąca wpośród tego przepychu, co pachnie haremem i wystawą wielkiego magazynu, piękna diva o złotych włosach.

Ofiarowuje niedbale wszystkie dziesięć palców piegowatej miss Elinor, która ze skórzanej teczki, naśladującej tekę profesora uniwersytetu, albo zgoła portfel ministra, wyjmuje różne błyszczące narzędzia i irchowe szmatki, mające z palców tych uczynić arcydzieło sztuki manicurowej.

Diva leży na poduszce i pasie szafirowe oczy superlatywami, krzyczącemi z rozłożonych na kołdrze dzienników. Połowa tych komplementów zakupiona została ryczałtem przez impresarja, ale zawsze miło czytać po raz dziesiąty, setny, czarno na białem, że się jest piękną i urocą, że ma się głos przebajeczny i tajemniczy urok słowiański... A co to może być:

hétérogène? Pochwała, czy obelga? Trzeba zapytać Assunty, jak przyjdzie.

— *La masseuse, madame.*

— *La couturière, madame...*

Potem wchodzi fryzjerka i długo, starannie szczotkuje jej włosy, aby były miękkie i lśniące. Rozwiewa się zapach spirytusu i grzanych żelazek... taki sam, jak niegdyś, gdy młodociana Zośka pomagała „panu“ w zabiegach nad głowami klientek. Ale żadne wspomnienie nie budzi się teraz w duszy divy. Tyle ma do zrobienia: przymierzyć nową suknię, powtórzyć rolę, ubrać się, przyjąć wizytę, wyjechać, zapłacić za elektryczność, wybrać koronki, napisać list do księżnej... Kiedy zdąży?

Ach, żeby Assunta przyszła jaknajprędzej!

Jedni za drugimi przewijają się dostawcy piękna i elegancji. Zośka stoi na środku pokoju, między monumentalnem łóżem a Pleyelem, takim samym, jaki był w Osinach. Stoi nieruchomo jak lalka, na której upinają modne gałganki.

Pociągnięcie portjery wypłoszyło tajemniczą złoćistość pokoju. Wystąpiły z fascynującego cienia różne szczegóły przybytku: parytury oper na kufrze angielskim, więdnące kwiaty z szarfami, wreszcie zbudzona na swej poduszce i ziewająca łaskawie Toutou, suczka japońska, o obliczu złośliwego bożka wschodu — dar wielbiciela, księcia Gallini, który przywiózł ją z zamorskich krajów.

Zośka niebardzo lubi zwierzęta. Od czasu prosiąt ciotczynych wyzbyła się wszelkiego sentymentalizmu dla stworzeń bożych, przez które tyle łez niegdyś wylewała. (Jedyny wyjątek — zbłąkany kotek z *via dei Servi* wygnany został z pamięci wraz z okropnymi chwilami, które przypominał).

Przyjęła jednak dar księcia z uśmiechem, raz dlatego, że *diva* zawsze powinna się uśmiechać, a potem, że każda dama musi mieć psa rasowego, by wyjeżdżać z nim na spacer.

Przez otwarte okna biegnie gorąca pieśń ulicy rzymskiej. Śpiewają przechodnie, gędzą piosnkarze sentymentalni, tętnią dzwony kościołów, nawet przekupnie opiewają swe cytryny i *finocchi* melodjami ad hoc tworzonymi. Dal, lekko oémiona, paruje upałem. Liście wydają się okryte powłoką kryształu. Z niezliczonych paszcz lwów, syren i trytonów wylewa się woda z pluskiem, grającym ową, na cały świat sławną, symfonię wodotrysków rzymskich, *le fontane di Roma*.

Na murze przeciwległym, poprzez gołopienne jawory szkarłaci się w słońcu afisz: kobieta o płasko stylizowanej twarzy i burzy czerwonych włosów nad fantazyjnym napisem:

Z O Ś K A

a poniżej:

„Dziś śpiewa znakomita primadonna Zośka“.

Zośka brzmi jak Tosca... szczęśliwy pomysł im-

presarja, gdy szukał dla niej imienia scenicznego, boć trudno było występować jako Koniuchówna. Ma impresarja milego, eleganckiego, który do stóp się ściele i nad gardłem jej czuwa jak najtroskliwsza matka. Nieraz telefonuje do restauracji, gdzie Zośka je kolację w towarzystwie: „Hallo. Przyjemnej zabawy. Przypominam, ostrożnie z szampanem mrożonym i nie wychodzić do ogrodu bez szala“...

Pierwszy impresarjo... jakież on był brzydki, brrr... choć w gruncie dobre człeczysko. Daleko już pozostał ten lachman przeszłości, złożony do aktów niepamięci wraz z wspomnieniami fryzjera i pani Wrońskiej. Dotrzymał jednak słowa: uczynił z niej primadonnę... i został kopnięty, gdy już był niepotrzebny.

— *Une lettre, madame.*

— Od kogo?

— Od Jej Wysokości. Kozak czeka.

— Proś do salonu, proś. Zaraz sama tam przyjdę!

Salon był błyszczący, sztywny i bez życia. Dzieła sztuki porozstawiano i porozwieszano z idealną symetrią. Wszystko było czyściutkie, jakby tu nikt nigdy nie wchodził. Na naczelnem miejscu widniał portret Zośki, pędzła modnego malarza — piękny jak ona, akademicki i tak samo bez życia.

Przy progu stał hieratyczny kozak, dzierżąc list, którego, według rozkazu, nie chciał nikomu oddać, tylko samej pani. Gdy weszła, zasalutował, wyciąg-

nał sztywno rękę z listem, uczynił zwrot i odszedł ceremonjalnym krokiem.

Zośka czytała szybko stronnice, zapisane ogromnymi kapryśnymi literami, które przy końcu każdego wiersza stale zjeżdżały na dół. „Laleczko moja“... Przebóg, księżna zaprasza do siebie, jeszcze przed teatrem! Co zrobi? Nie wydała nigdy, nigdy! Gdzież Assunta? Wołajcie Assenty! Wróciła do sypialni. (Tu zawsze czuła się bardziej u siebie. Błyszcząca jej własny salon trochę ją onieśmielał). Straciła głowę. Nie wydała, to darmo. Siadła na kufrze i opuściła bezradnie ręce. Różnogatunkowe przedmioty po wszystkich kątach sypialni świadczyły o zupełnej nieudolności właścicielki do uporania się z tym dopustem bożym.

Odkąd nie czuwała nad nią kochająca opieka mistrza, Zośka pozwoliła się ogarnąć zachłannej tyranji nadmiaru. Niekiedy tylko stwierdzała z cichem westchnieniem rezygnacji: „Znów tyle nut na łóżku! Znów Toutoutka narobiła nieporządku pod kanapą w salonie“. Łóżko slano na noc, nuty spadały gdzieś w otchłanie kurzu i zapominano o nich, aż do wielkich porządków. Jeżeli zaś zdarzyło się, że były akurat potrzebne, przywoływano na gwałt Assuntę.

Assunta, czystej krwi Rzymianka z Trastevere, czarnooka brunetka o olbrzymich złotych kolcach, praczka, powiernica i wielbicielka śpiewaczki, była tym czynnikiem ładu, który jedyny na świecie

mógł powiedzieć, ile par majtek posiada diva i gdzie się podział szal indyjski, który niedawno jeszcze, wczoraj, albo najdalej przed dwoma miesiącami leżał na kufrze?

Assunta umiała zdobyć kwiaty dla divy, gdy wszystkie kwaciarnie w Rzymie były już zamknięte i umiała z kart wywróżyć, czy Zośka będzie miała powodzenie w nowej roli i jaką ma włożyć suknię: różową czy niebieską? Odkąd Zośce się śniło, że została zakonnica i miała dwoje dzieci, a Assunta orzekła, że to znaczy, iż trzeba postawić na 12, 38 i 57 i w rzeczy samej terno padło na te cyfry — autorytet jej w tym domu był nieograniczony!

I teraz Zośka, siedząc biernie na kufrze, oczekiwała wypowiedzenia się Assunty w sprawie zaprosin księżnej.

Drzwi rozwarły się gwałtownie. Wpadła Assunta, wachlując się z całej siły, z kropelkami potu na pięknej, trochę niedomytej twarzy.

— *Carissima, bellissima, pędzę, lecę, oh, che caldo! non ne posso piu.* Jaka pani piękna dzisiaj! A jaka piękna ta arja, co ją pani wczoraj śpiewała: la-la lala! *Magnifica! Tesoro, amore, mio!*

Rzuciła się impetycznie do rąk i twarzy Zośki. Wtem zobaczyła, że Zośka płacze i nie pytając o przyczynę, rozplakała się także.

— Co ja zrobię! Księżna mnie zaprasza na wieczór, a ja mam tyle do roboty! Poradź, pomóż!

— *Carissima*, kapelusz na łóżku! Nie wolno! To przynosi nieszczęście!

— Wydostań mi suknię... Jaką mam włożyć?

— Tę ze złotem, *tesoro mio*, taka bogata!

Rzuciła się do szaf i kufrów. Naraz Zośka przypomniała sobie:

— Słuchaj no, nie wiesz co to znaczy *hétérogène*?

— *Hétérogène*? Nie, nie wiem. Trzeba zobaczyć w senniku. Ach, właśnie, wie *signora*, co mi się śniło?

Zameldowano: Księżę Gallini.

— Proś, niech poczeka w salonie. Ach, Toutoutka poleciała do salonu! kto wie, czy nie narobiła znowu pod kanapą. Mów, Assunta, mów: co ci się śniło?

— Byłam gdzieś, jakby w lesie, ale zamiast drzew rosły tam głowy z długimi brodami, a inne znów jakby małych dzieci. Zbliżam się i patrzę, aż tu naraz jak nie błysnie, zagrzmie i wszystko znikło, a ja znów jestem w jakiejś sali, bardzo długiej, a na końcu *signora*. Uśmiecha się i idzie do mnie, ja też idę do *signory* i nie możemy dojść, sala ciągle się wydłuża i wydłuża, aż tu zbliża się stary *frate* i pyta, którądy droga do San Pietro? Ja widzę, że on ma zupełnie taką samą twarz, jak tamte drzewa i pytam, czy nie krewny? On kręci głową i pokazuje mi ręką jakieś pałace, jakieś kościoły. Patrzę —

aż tu mi w rękach zostaje przesłiczny złoty łańcuch, a dokoła niema nikogo. I obudziłam się.

— To strasznie dziwny sen.

— Mam tu sennik ze sobą, niech *signora* poszuka: co też taki sen znaczy?

I podczas, gdy książe Gallini w towarzystwie rozgrymaszonej Toutou czekał, szarpiąc rękojęść szabli z niecierpliwością, primadonna i praczka, rozciągnięte obok siebie na dywanie, dociekały wspólnie: co też sen taki ma oznaczać?

W cieniu łoży tajemnicze lśnienie brylantów...

Niskie ukłony i pośpiech wyfraczonych panów z krzyżami i gwiazdami na wstęgach świadczy, że kryje się tam ktoś z potężnych tego świata.

Niekiedy wynurza się na jaśnie długie i kościste oblicze kobiece o wydatnym nosie i gromowładnych oczach. Oczy te wpijają się w śpiewającą Zośkę i rozjaśniają uśmiechem, w którym jest coś sępiego. Potem cofają się w głąb łoży, a siedząca z boku dama o przymilnym uśmiechu pochyła się dla przyjęcia konfidencyj.

W każdym antrakcie padają na scenę kwiaty — dużo, dużo kwiatów: tuberozy o śnieżnym obliczu, datury o niesamowitym zapachu, róże japońskie... Całe kosze, olbrzymie wieńce. Zasypana prawie, Zośka kłania się i kłania. Teatr wtóruje oklaskami tym tryumfom swojej ulubienicy.

— Hrabino Lizowska! — rozlega się chrapliwy, władczy głos.

Przymilna dama pochyła się spiesźnie:

— Wasza Książęca Mość rozkaże?...

— Dlaczego niema róż szkarłatnych, takich jakich malowidło wam dałam?

— *Altesse*, w całym Rzymie nie można było znaleźć akurat takich. Myślałam, że podobne...

— Nigdy nie myśl! Jak nie było w Rzymie, trzeba było sprowadzić z Sycylji, z Paryża, *que sais-je!* Nigdy nie można wam ufać, że spełnicie dokładnie to, co się wam mówi!

Hrabina Lizowska pochyliła kornie głowę na znak skruchy, a także aby uniknąć bliższego kontaktu z Jej Wysokością. W chwilach złego humoru Altezza potrafi walić po twarzy na prawo i lewo...

Tymczasem Zośka śpiewała arję, która entuzjasmowała publiczność opery, tak samo jak Assuntę. Teatr rozszalałemi okrzykami domagał się powtórzenia. Za każdym zjawiającym się na scenie wieńcem kwiatów wybuchały nowe oklaski. Zośka kłaniała się i kłaniała, specjalne ukłony składając w kierunku tajemniczej łoży. Altezza nie poruszała się, lecz patrzyła na nią z uśmiechem.

Potem przeniosła swe twarde oczy na tłum. Holota! Czegoż tak krzyczą? Czego tak się cieszą? Co ich to obchodzi! Patrzyła na publiczność jak na rozjuszonego zwierza, który przeciwstawia swe za-

chcianki jej wszechmocnej woli. Dwie potęgi, dwa despotyzmy! Kanalja staje wspólnie z nią o tę złotowłosą dziewczynę! Oczy pogardliwe biczowały falujące głowy i wiejące w oklaskach ręce. Och, jakby odepchnęła tych ludzi, odepchnęła temi swemi rękami, które nie zawahałyby się skapać we krwi śmiałków, co na drodze jej stają.

— Hrabino Lizowska!

— Słucham Waszej Księżęcej Mości?

— Posłać jej róż... dużo... ale za scenę... niech ta hołota nie widzi...

— Według rozkazu Waszej Księżęcej Mości.

Po drodze Lizowska szepnęła siedzącemu z tyłu adjutantowi:

— A to ją wzięło!

— Nowe sitko na kołku... — odparł filozoficznie dostojnik w orderach. — Minie i to.

— Generale Moszennikow...

— Słucham Waszej Księżęcej Mości.

— Słuchasz? Słuchałbyś lepiej tego śpiewu! Ale ty wolisz drzemać i myśleć, co będzie na kolację.

— Wasza Księżęca Mość, słucham bardzo uważnie. Głos fenomenalny, a i szkoła...

— Co tam głos, co tam szkoła! Nie rozumiesz nic a nic. Ale co się temu dziwić. Skądże miałbyś rozumieć! Jesteś przecież mężczyzną. Lizowska prędzej powinna by zrozumieć, gdyby nie była gęsią z fatalności przyrodzenia.

General Moszennikow rzucił zawistne spojrzenie na Lizowską, która, usłyszawszy swe nazwisko, pochylili się z przymileniem:

— Wasza Ks. Mość rozkaże?

— Nic nie rozkaże: żebyście byli cicho każe, ot co! Przeszkadzacie mi swą głupią paplaniną, ot co! Chcę słuchać!

Hrabina usunęła się śpiesznie w kącik i zasiadła obok towarzysza niedoli.

Po zapuszczeniu kurtyny w pokoiku Zośki zaroiło się od fraków. Na pierwszy plan przecie, roztrącając innych, wystąpił pan o długich włosach i za ledwie zobaczył primadonnę, rzucił się do rąk jej z żarliwością.

— Chciałbym wyrazić pani moje gorące podziękowanie...

— Proszę pana...

— Jestem poetą... Pani mnie zrozumie, bo ma takie złote włosy. Chcę stworzyć dzieło wielkie, zupełnie nowe: połączenie muzyki, rzeźby, malarstwa, ruchu, a do tego potrzebny mi jest materiał ludzki. Nie zwykli figuranci, nie... Poprostu przełożone na kształt ludzki moje marzenie. Wszyscy ci artyści razem to całokształt tego marzenia. Czy chce pani być jednym z elementów, pierwszorzędnym elementem, proszę pani, mego snu?

— Owszem... chętnie, tylko... — rzekła Zośka, nie wiedząc, o co chodzi.

Nagle drzwi się otworzyły. Wszedł hieratyczny kozak.

— Jej Wysokość prosi *signorę* do siebie.

— Zaraz... tylko się przebiorę — szepnęła, wskazując oczami na gości.

— Jej Wysokość prosi tak, jak pani stoi. Jej Wysokość czeka w powozie.

Prowadzona, prawie popychana przez ugrzecznionego kozaka, wpadła w otchłań olbrzymiego samochodu. Za nią, jak ćmy, wyciągnęły rzesze wielbicieli. Znaleźli się naraz wobec zatrzaśniętych drzwi i rozkazu, ciśniętego w nieznanym języku:

— Za miasto! Z całych sił!

Kościste ręce pochwyciły Zośkę i szerokie usta wycisnęły na ustach jej pocałunek:

— Gołąbka! Serce! Zmęczona, prawda, powiedz, bardzo zmęczona? Z tym natchnieniem, z tym ogniem w oczach!

Lecieli jak burza przez miasto i wypadli na via Nomentana. Pędzili całą mocą 80 H. P. ku zgromadzeniu policjantów, notujących skrzętnie i bezradnie znany numer tego piekielnego samochodu z koroną cesarską. Tłum pierzchał w przerażeniu przed czarnym, nieobliczalnym potworem. Kozak, sterczący na koźle, śmiał się z cichą satysfakcją: Jakże głupie miny mają uciekający przechodnie! Kobiety zadzierają głowy, mężczyźni potykają się. Ach, żeby tak można ich jeszcze dla uciechy zdzielić nahaj-

ką! Niestety, to nie to co w domu, kraj konstytucyjny, *czort ich pobier!*

Widniały na lewo katakumby Ś-tej Agnieszki, za któremi kryje się cmentarz Ostiano, wspomniany przez Sienkiewicza, bo tutaj kazał Święty Piotr z Antiochii, przynosząc świadectwo prawdzie Pańskiej. Potem most na Aniene, ponte Nomentano, wsławiony śmiercią Nerona, za mostem droga, skręcająca ku Monte Sacro, wreszcie Casal de Pazzi, starożytna ferma z pozorami warowni, z długim rzędem parasolowatych sosen rzymskich... a potem już kampanja rzymska, posepna, płaska, tchnąca malarją, otoczona, jak czatownikami, długimi kadłubami eukaliptusów, ze szczątkami zwalisk tysiącioletnich — i w dali, na końcu tego obrazu klasycznego, góry Sabińskie nawprost i wzgórze Albańskie na prawo, napoły już utopione w mroku błękitnym...

Księżna obejmowała Zośkę i przyciskała usta do ust jej pełnych rozkoszy. Czasami odsuwała się i przy skąpym blasku latarni poila się widokiem jej gładkich policzków i złotych loków. „Gołąbka! Złotko! Cudol!“ Trzymała rękę jej w swoich.

Jadą, niesione łagodnym rytmem powozu.

— Czy nie dobrze tak, nie miło? Nie byłoby lepiej jechać tak przez wieczność?

Niestety, trzeba wracać do domu, do ludzi... rzeczywistość zdmuchnie błogi nastrój i rozanielenie

duszy, kiedy człowiekowi zdaje się, że jest lepszy, czystszy, na drodze do raju. Ach, nikt nie jest wolnym, nigdy nie może żyć, jakby chciał! Nawet panujący nie są wolni — od oleju rycynowego. Co za nędza być księżną!

Na wzgórzu, w gaju wawrzynów stała biała willa księżnej, o płaskim dachu i przewiewnych kolumnadach. W dali wyjawiał się Rzym zgroźną swą mocą dziejów wiekowych. Mocny zapach oleandrów unosił się w powietrzu.

W *loggii* oplątanej różami stali obok siebie: przy miłna Lizowska i generał Moszennikow o palcach pełnych drogocennych sygnetów i oblesnej twarzy starego wygi.

Czekali na przyjazd pani i ruszyli na wyścigi, gdy samochód zatrzymał się u wjazdu.

— Jak pani dziś pięknie śpiewała! Przeszła pani sama siebie! — zawołała Lizowska, obejmując Zośkę i całując serdecznie. — Ile wdzięku umiała pani włożyć w tę rolę!

Księżna, skręcając papierosa, warknęła półgłosem: „Cukierki z mydła!“ ale nie przerywała pochwał sypanych przez parę dworzan jej ulubienicy. Po pewnym czasie jednak uznała, że już dość. Zaraz korni dworzanie odstąpili, a księżna bez ceremonji posadziła Zośkę na fotelu, w głębi przy nakrytym na dwie osoby stoliku.

— Jedz złotko, pokrzep się, musisz być głodna.

Lubisz pasztet, lubisz ananasy? Patrz, co wolisz, mów, to wszystko dla ciebie! Jedz gołąbko moja.

Własnoręcznie krajając kęski, nabierała na widelec podawała jej do ust. Zośka z dobrą wolą jadła, starając się łykać jak najprędzej, by nadażyć za gestami tuczającej ją Wysokości. Moszennikow stał z tyłu i bez rozkazu nalewał kielich za kielichem.

— Wasza Wysokość nic nie je! — zatroskała się Lizowska.

— Nie mam jakoś apetytu, tylko pić mi się chce. Moszennikow, daj mi szampana. Ale nie, owszem, przyszedł mi apetyt w tej chwili. Mam ochotę na udko bażanta! Chcę koniecznie to udko bażanta, do brze gołąbko?

Wyrwała zębami z ust Zośki nawpół już zgryziony kawałek i połknęła ze smakiem.

— Wyśmienity! Nic równie dobrego jeszcze nie jadłam.

Zośka rzucała błagalne spojrzenia to na Lizowską, to znów na Moszennikowa, ale oni trwali w godności, jak karjatyty ceremonjału dworskiego i dawali jeno folgę zadowoleniu, że Jej Wysokość cieszy się tak dobrym apetytem tego wieczoru.

Wielka sala willi oświetlona była starożytnymi pajakami. W posadzce marmurowej jak w zwierciadle grały migoty kryształów: wydawała się pokryta błyszczącą taflą wody. Kilka pań i paru oficerów oczekiwało w milczeniu.

Gdy weszła dostojna gospodyni pod rękę z Zośką, otoczono ją z należąco czolobitnością.

Księżna wypytywała o zdrowie i bez nadmiernego zdziwienia przyjęła wiadomość, że ten lub ów ośmielił się chorować na to samo, co ona.

— Właśnie i ja to przechodziłam — rzekła łaskawie i już dalej nie pytała, pewna, że zaszczyt ten starczy za uzdrowienie. — Nie przedstawiam tego cuda, bo któż jej nie podziwiał przed paru godzinami?

— W rzeczy samej... — zaszemrał chór.

— Siadajcie, dokoła tego stolika... Położymy rękę na stole, tak aby się stykały pierwszym i piątym palcem. Każdy z nas niech myśli o czemś pięknem i wzniosłem, niech stara się wzbudzić w sobie doskonałość... Mówcie cicho, bardzo cicho, błagam was... słyszysz, Moszennikow? Ty masz głos jak trąba jerychońska...

Jedna z pań siadała opornie, żebrząc wzrokiem spojrzenia księżnej. Ta nawet nie spojrziała.

Myśleli o rzeczach dobrych i wzniosłych: oficerowie w pokrowcach szytych złotem mundurów i panie o błyszczących lakierowanych paznogciach. Przymilna Lizowska zamknęła oczy i oddychała ciężko. Zapachy róż i oleandrów płynęły z wnętrza upalnej nocy rzymskiej za oknem.

Księżna z pochyloną głową, z ręką w ręce Zośki zagłębiała się w duszę własną, szukając źródła łąski. Twarz jej wygładzała się, rodziły się myśli do-

brotliwe. Marzyła o jakichś wyrajach słowicznych, o wirydarzach kwiatów, o cerkwiach napelnionych złotem i spokojem, które wiodą wprost do nieba. Uśmiech słodki i uprzejmy gościł na ustach jej, darczyła nim, jak czarą wina, zebranych dokoła. W tym uśmiechu twarz jej długa i koścista przeistaczała się do niepoznania, nabierała uroku i słodczy. Stawała się córą mocarzy, którzy od stuleci umieli szafować spojrzeniem jak łaską, za którą ludzie umierają... Była jak symbol, jak szczyt słoneczny i niedosięgly.

Lizowska powstała, chwiejąc się.

— Grajcie mi... grajcie...

Ozwała się cicha melodja szpinetu, dźwięczna jak brzęk szklanych skrzydełek jakichś owadów kolorowych z pod zwrotnikowego nieba. Lizowska oparła się o młodego oficera gwardji, siedzącego przy Zośce.

— Trzymaj mnie, trzymaj mnie... wpadam w trans...

Oficer podniósł się, podtrzymał chwiejącą się kobietę i ostrożnie wiódł ku kanapie. Lizowska sztywniała mu w rękach. Białka wywrócone świeciły z za przymykających się powiek.

Zaledwie złożył ją na kanapie, zastygła w pozie, przypominającej postacie z fresków egipskich, nie puszczając szyji jego, którą obejmowała kurczowo.

— Chłód idzie od niej... — szepnął ze świętą zgrozą.

Towarzystwo wpatrywało się ze skupieniem.

— Grajcie... grajcie mi... — były ostatnie słowa wybelkotane zamierającymi ustami.

Księżna podniosła się i pocichutku doszła do niej.

— Śpisz?

Milezenie.

— Można cię pytać?

— Pytaj... — wionął jęk z innego świata.

— Kim jesteś?

— Świątynia o niskich kolumnach, malowana w ibisy... Tańczę przed ołtarzem mej Pani... Tańczę na cześć Jej, niepoznanej, nieśmiertelnej... Kapłanką Twą jestem... O Izys... O Izys...

Podniosła się i z wyciągniętymi rękami, oczami zamkniętymi szczelnie zaczęła wykonywać *pas* świętego tańca, podnosząc stopy nad posadzką, świecąca jak woda w noc miesięczną. Krótkie i skrzywione w kostkach nogi odstaniały się z pod fałd sukni.

— Mów! Mów! — płynęły żarliwe prośby.

— Pytajcie... Reweluję...

Panie cofały się w tył, w zbożnej trwodze. Nikt nie śmiał uchylić zasłony Izydy. Jedynie księżna się nie ulękała.

— Wiesz wszystko?

— Wiem.

— Kim jest Bóg?

Szmer zgrozy przebiegł towarzystwo.

— Bóg jest ten, kto jest... Bóg... Niezaczęty i Nie-skończony... Mocarne słowa idą ze mnie... Słuchajcie... Żywcie się ziarnem prawdy...

— A kim ja jestem? — badała nieustraszona księżna.

— Widzę cię... widzę... W koronie ojce twoi... Idziesz za twem przeznaczeniem. Tyś jest córa Faraona, która odnalazła Mojżesza, która dała światu proroka i ludzkości nowe drogi.

— Co robię?...

— Zamęt w mej głowie. Żałuj... Nie nalegaj.

— Patrz uważnie: co robię?

Uspiona Lizowska zaczęła wydawać niesamowite jęki.

— Kochasz młodego kapłana Seti. Ach, przebóg, czemuż stanęłaś na drodze mojej? Ja go kocham... on mój... Jedna z nas zginąć musi... Odejdź królowno, on mój! Przebóg, tobie nic się oprzeć nie zdoła... Och — och — och...

Lizowska zaczęła dygotać konwulsyjnie i osunęła się na dywan. Rzucono się do niej, złożono pieczołowicie na kanapie. Księżna rozcierała sobie ręce: zupełnie skostniały w bliskości tej kobiety. W głębi grupa zbitych w gromadkę pań patrzyła szeroko otwartymi oczyma, czując z niemałym zadowoleniem podmuch strachu, który jeżył włosy na głowie.

Opodal dźwięczała ciągle muzyka szpinetu.

Naraz Lizowska jęknęła, wyprężyła się i wyciągniętymi rękami zaczęła szukać kogoś.

— Budzi się... budzi... — wionął pełen skupienia szmer.

— Och... gdzie jestem?

Dźwignęła się i zamroczonemi oczyma spoglądała dokoła.

— Kto wy? Co robicie ze mną?

Księżna podeszła z niebywałą u niej troskliwością.

— Księżna Zina... Czułam koło siebie jakąś drogą, drogą obecność... Szło skądś na mnie ukojenie.

Przycisnęła do ust rękę księżnej i rozglądała się wkoło, z trudem rozpoznając miejsca i ludzi.

— Ach, to był seans? Czy udał się? Czy co rewelowałam?

— Udał się! Doskonale! — posypały się zewsząd pełne zapału okrzyki. — Rewelowała pani rzeczy nadzwyczajne!

Lizowska wzięła za rękę oficera gwardji i długo w twarz mu spoglądała.

— Czy mówiłam co i panu?

— Mnie nic...

— Usiądź przy mnie. Wywróżę ci przyszłość.

Oficer jednak wołał swoje miejsce przy Zośce.

Patrzył raz po raz na jej nagie ręce i ramiona. Przesunął wzrok na szyję odsłoniętą, powrócił do ramion i zadumał się.

W lot dojrzała to księżna. Nastrój mistyczny pierzchł z jej duszy.

— Kochany poruczniku, myśl o doskonałości, zamiast patrzeć, gdzie niepotrzeba.

— Wasza Księżęca Mość — bronił się zagadnięty... — właśnie wydało mi się, że zacznym uczuwać szmer łaski...

— Nie przybieraj tych min głębokich! Wiadomo, że cała ta twoja zaduma to widok pięknych ramion!

— Wasza Wysokość raczy mnie nie znać! Dusza ludzka jest wiekuistą zagadką...

— Właśnie o duszę ci najwięcej chodzi! Jesteś, *mon cher lieutenant*, gruboskórny czciciel cielca, bez ideałów. Chciałam cię uszlachetnić, przez wzgląd na twą świętą matkę i twego zacnego ojca i na ich przywiązanie do naszej rodziny...

— Wasza Księżęca Wysokość!...

— Milcz lepiej, kochany poruczniku. Z tobą nie da się zrobić. Jesteś pogrążony w grubej materji. Wykluczam cię.

— Wasza Księżęca Mość...

— Idź precz, zrozumiałeś? Moszennikow, pomóż mu tam iść do djabła!

— Ja, Wasza Wysokość, pochodzę z bardzo dobrej rodziny i nie jestem lokajem, aby...

— Wiadomo, wiadomo, wszyscy wywodzicie się conajmniej od króla Kapeta. *Passons, passons*, nie

przeszkadzaj, idź sobie prędzej. Zagląbmy się w myślach, *mesdames et messieurs*...

Tak niegdyś przodkowie jej przynaglali skazanych na śmierć, aby nie opierali się katowi i nie zabierali panującemu drogiego czasu. Oficer brzęknął ostrogami w ukłonie służbowym i opuścił zgromadzenie.

Moszennikow wyszedł za nim.

— Nie przejmuj się zbytnio. To minie.

— Co jej się stało? Nic nie rozumiem.

— Zadługo się przyglądałaś tej dziewczynie.

— Ta dziewczyna? Ależ ona mnie obchodzi tyle, co śnieg zeszłoroczny.

— Księżna ma teraz okres gorący. Przejdzie po kilku tygodniach. Damy ci znać, wrócisz i będziesz dobrze przyjęty. A teraz idź: *inutile d'insister*. Ojcu nic nie pisz, to się załatwi, bądź spokojny...

Księżna, wstrząsana niesmakiem, zaglądała w szafirowe oczy Zośki, aby się uspokoić.

— Jacy ludzie są po uszy pogrążeni w materji. Ślepcy, nie widzą, nie rozumieją, gdzie grzęzną. Ach, zawsze zamało znamy życie tych, których dopuszczamy do siebie... Powinniśmy jedni drugim opowiedzieć je szczerze...

— Wasza Wysokość zna moje — szepnęła żarliwie i namiętnie jedna z pań, szukająca wciąż spojrzeń księżnej.

Księżna jakby jej nie słyszała.

Muzyka szpinetu drgała jeszcze, jak dogasające w ostatnich skurczach skrzydła motyle. Lizowska z rękami zaplecionemi nad głową mówiła w rozmarzeniu:

— Melodja mego dzieciństwa...

Przesunęła cienkie palce po czole, jakby zbierając rozpierzchłe myśli:

— Pamiętam... Byłam dziewczyną hożą, rozmazaną, podobno urodziwą, kochaną...

— I tak dalej — przerwała księżna. — Nie będziesz nam tu wyliczała wszystkich kóchanków... daruj miła hrabino, ale my tego naprawdę nie ciekawi, a i ty nie spamiętałabyś... Moja laleczka złotowłosa niech nam opowie, jak się bawiła pierwszą lalką.

Zośka zadrżała. Cóż to ona ma opowiadać w tem świetnem gronie? Skąpa, a teraz jeszcze spłoszona wyobraźnia odmawiała posłuszeństwa. Z uporczywym szyderstwem stały przed nią dwa tłuste prosiaki ciotczyne. Na szczęście księżna wnet zapomniała o propozycji:

— Moszennikow, nie odwracaj się, widzę, że ziewasz.

— Wasza Wysokość...

— Jesteś idjota *mon cher* i tyle.

Zaczęła się cicha sprzeczka, z której do uszu zgromadzonych dolatywały tylko pojedyncze słowa. Zośka, z ręką wciąż trzymaną przez księżnę, stała się siedzieć jaknajciszej. Nuż zapomną o jej

obecności? Życzliwie przysłuchiwała się rozmowie, której połowę tylko rozumiała, ale która odciągała chwilę drażliwej spowiedzi. Księżna zaogniła się. Sprzeczką zesłała na tory zasadnicze, zataczała kręgi szerokie.

Nagle w głębi nocy, w ogrodzie, rozległ się strzał rewolwerowy.

— Ach! — wrzasnęły chóralnie panie.

— Zbójcy! Zbójcy! — krzyczała Lizowska. — Nie darmo widziałam krew! Generale, idź pan, zobacz, posłuchaj! Błagam, idź! Może to spisek przeciw naszej najukochańszej pani!

Generał Moszennikow powstał ociężale. Nie bardzo się kwapił. Kazał się przecież właśnie przydzielić do służby dyplomatycznej zagranicą, aby nie widzieć wojny w kraju: nie lubi, nie lubi krwi... Wyszedł przed wille, bacząc, by się nie oddalać od oświetlonych okien kuchni: stamtąd zawsze może mieć sukurs...

Księżna czekała spokojnie, trzymając rękę Zośki w swojej.

Nagle Moszennikow blady jak trup stanął za plecami księżnej. Był zdenerwowany. Dawał jakies znaki Lizowskiej.

— Co to było? — spytała autokratka.

Dworzanie spłoszeni nie odpowiadali.

— Co się stało Moszennikow, wyjęzycze się narzecie. Cóż to, może mam się lokajów pytać?

Podeszła do okna. Lizowska i Moszennikow rzucili się i zagrodzili jej drogę.

— Niech Wasza Książęca Mość nie patrzy! Niech Wasza Książęca Mość nie patrzy!

— Czyście poszaleli?

Moszennikow wyjąkał nareszcie:

— Nic...zapewniam Waszą Wysokość, że to nic... Nic strasznego. Ten postrzeleniec wypalił do siebie z rewolweru...

— Co znów za postrzeleniec?

— Porucznik, którego Wasza Wysokość raczyła wypędzić...

— Ach, tylko to... — odparła obojętnie księżna.

— Chybił, ranił się lekko, będzie żył...

— O niego te wszystkie *simagrées*? Ha, mój kochany, chyba domyślasz się, że byłabym w stanie znieść mężnie nowinę! Moi państwo, siadajmy do stolika, może uda się nam wznowić nastrój. Laleczka przy mnie. Jaka szkoda, tak nam właśnie szło dobrze...

V.

Księżna Zina siedziała przy oknie swej willi warszawskiej.

Od okna równą linią biegł szpaler grabowy i kończył się w półkolu bzów, których celem było zasłanianie ostatnich budynków, jako to: kuchnie, mieszkania służby, garaż. Dawaly one również złudzenie głębi, albowiem zaraz za tą firanką gąszczów sterczały spiczaste kamienice, coraz ciaśniej opasujące siedzibą wielkopańską, ocalałą dotychczas w gorączce budowlanej miasta.

Księżna myślała. Myślenie nie przychodziło jej nigdy ze zbytnią łatwością, a teraz tyle było spraw zawilych, że już dwa sznury pereł rozerwała, a jeszcze nie wpadła na trop właściwy. Wreszcie machnęła ręką.

Zasiadła przy biurczku, zrzuciła jednym ruchem zalegające tam listy, ilustracje i papiery, wydostała złoty stylograf i szerokim, zamaszycie zjeżdżającym z góry na dół pismem, głosiła:

„Moja laleczko moja laleczko niezapomniana!
Otwórz szeroko szafirowe ślepki i posłuchaj, co ci powiem.

Wojna i to, co po wojnie zaszło, zmieniło oblicze świata. Nic a nic nie rozumiem. Zdawało mi się zawsze, że nie jestem kretynką, przynajmniej nie tyle, co Moszennikow, ale nie rozumiem. Mniejsza o to. Jestem biedną nędzarką obecnie, która żyje wspomnieniami i resztkami pereł i brylantów. Mieszkam w stolicy nowego państwa, która się nazywa Warszawa. Nie potrzebuję ci dodawać, że nie mam, ani dworu, ani koni, ani tysiąca innych rzeczy pierwszej potrzeby. Pomyśleć, że to wszystko było niegdyś nasze, a teraz nie mam prawa tutaj do najlżejszego kaprysu. Mniejsza o to, zniosłam tyle, zniosę i to.

Przyjedź, bardzo mi tęskno za tobą. Jedzie się przez Wiedeń, ale można i przez Berlin. Czekam.

Zina“.

Zośka czytała, gotowa już, z nałogowem posłuszeństwem, do wyjazdu.

Oczywiście, przywołano Assuntę. Z pomocą jej załatwiło się wszystko jakoś bez trudności nadmiernych, z odrobiną jedynie krzyku. Będzie czuwała nad mieszkaniem, niech *signora* polega na niej. Tou-tou codziennie będzie miała mleczko, a jak poczuje chęć małżeństwa, wyszuka dla niej odpowiedniego męża. Bo przecież niepodobna takiej bestji wlec aż pod biegun północny! zatruląby życie *signorze!*

Uspokojona, wycalowana na drogę, Zośka zasiadła w wagonie, noszącym napis: Roma — Warszawa

...Wagon kolejowy nie wie nic o życiu miast, przez które przebiega. Wchodzi na stację, wyrzuca podróźnych i cofa się, odlatuje w świat tak, jak niecierpliwa łódź odbija od brzegu.

Nie wie, co się dzieje na ulicach, placach, w ogrodach, w mrocznych wnętrzach kościołów, w jaśniejących jak słońce teatrach. Zbliża się i odchodzi. Wyładowuje codziennie przyływ gości i odchodzi pod okopcony dach remizy.

I podróżny z dalekiego świata, zstępując na bruk, u kresu, pyta ze zdumieniem:

— To już?

...Otulona w nurki, piękna i nieruchoma jak dzieło sztuki klasycznej, Zośka bez wzruszeń przejeżdża w samochodzie księżnej ulicami, kędy przed laty biegła w podartych bucikach do „klientek“ pana fryzjera.

— Laleczka! laleczka! wita ją radosny okrzyk księżnej.

— *Caral Chèrie!* — wtóruje gorąco Lizowska i Moszennikow, sterczący po obu bokach księżnej, jak gwardja.

„Altezza“ była zawsze tą samą „Altezzą“ o męskiej budowie i krwiożerczych oczach. Krążył dokoła niej cały klan sługusów, bądź z nałogu, bądź dla nieokreślonych nadziei. Na czele tej gromady stał zawsze Moszennikow o coraz czerwieszym nosie, i przy-

milna hrabina Lizowska, w wolnych chwilach właścicielka prywatnego *tea-room*... dla wybranych...

Oboje wprowadzili odrazu Zośkę w życie cudzoziemców, umiejscowione w prostokacie między Bristolem, Europą, a Oazą.

Na tym kawałku Warszawy powojennej rozgrywały się komedje i tragedje, nieznanne ogółowi, które nierzadko kończyły się hukami wystrzałów i skandalami aresztów.

Wszyscy tutaj stanowili klan zamknięty, odcięty od Warszawy i nie interesujący się nią. Z żywiołów miejscowych znano jedynie kelnerów i kupczyków w sklepach, oczywiście na pierwszorzędnych ulicach, zawsze w promieniu Bristolu.

Zośka weszła odrazu w rolę, oznaczoną jej przez księżnę. Los wyniósł ją wysoko, kapryśnym podrzutem wyniósł aż pod niebo, choć nigdy nic nie czyniła, aby się wywyżżyć. Tak jakoś przyszło z siebie. Gdy patrzyła obojętnem okiem na place i ulice Warszawy, zaczęły się przesuwac przed jej pamięcią wielokrotne cienie osób, które los przez chwilę stawiał na linii jej życia i usuwał — niewiadomo gdzie i dlaczego: Miss Massie, hrabia Gallini, Assunta... tyle, tyle innych. Biernymi szafirowymi oczami patrzyła na wszystko, nie usiłując rozumieć, tak jak biernie przyjmowała oklaski w teatrze i pieszczoty księżnej.

Kiedy w wytwornem towarzystwie zasiadała na

werandzie u Lourse'a, zdawało jej się, że jest w kinematografie.

Przewijały się postacie egzotyczne, mundury różnokolorowe. Panie niewiadomych kondycji sunęły się z wdziękiem, pośrednicząc w sprzedaży klejnotów i futer, jeśli były w pewnym wieku i samych siebie, o ile były młode i ładne. Godzinami przesiadywali nad *cock tailem* eleganci, którzy zdawali się nie mieć nic innego do roboty. Gdy pojawiał się Anglik lub Amerykanin, otaczano go uwagą osobliwą: wysoka waluta! Na drodze jego wykwitwały czolobitne ukłony, a panie o utlenionych włosach miały zawsze tysiące propozycji: kupno obrazów, same Rafaele, Rubensy i Michały Anioły... i inne jeszcze, wymawiane cicho, z błyskiem oczu...

Wino lało się strumieniami wespół z powodzią podartych banknotów upadającej waluty.

Tam, gdzieś na nieznanym ulicach ślęczały jakieś życia ludzkie przy maszynach, trawiły się młode siły nad księgami, tworzyły w męce jakieś wartości...

Przeciągały koło werandy całe rzesze tubylców, rozprawiały o czemś, szły gdzieś po coś — ale kto by o tem myślał! Nie zwracano uwagi na szare tłumy. Niższa rasa, nędzarze groszowi. Co najwyżej, na wieść o jakimś strajku, Anglicy, Francuzi, a najbardziej Rosjanie informowali się skwapliwie, czy aby nie wybuchnie rewolucja i cieszyli się pew-

nością, że lud polski jest spokojny i ma zdrowe zasady.

Jedyna z całego towarzystwa Zośka знаła język miejscowy i mogłaby powiedzieć, co mówią te szare tłumy. Nie myślała jednak o nich, nie zajmowały jej. Czuwała tylko troskliwie, aby nigdy się nie wydało, że Zośka z Osin a ona, to jedna i ta sama osoba...

Księżna była niesłychanie zafrasowana.

Sprzyszyły jej się tarapaty pieniężne i ogałacanie z klejnotów za pośrednictwem eks-dygnitarzy, którzy dla tradycji okradali ją bez miłosierdzia.

Trzeba to zmienić!

Zwołano „radę koronną“.

Zośka też była zaproszona, ma się rozumieć. Czemże się miała księżna bawić, gdyby nie było jej złotych warkoczy? Wsłuchanym pokornie dworzanom, księżna oznajmiła, że postanowiła wydać się za męża.

— Nie za żadnego panującego, miły Boże! tak mało ich pozostało na świecie i takie to niepewne stanowisko. Rezygnuję z ziemskich wielkości. Chcę zwyczajnego serca kochającego, chatki we dwoje i tylko dwunastu — no, nie — piętnastu kapeluszy na rok. Byle mieć opiekę męską. Lizowska, Moszennikow, wam poruczam te sprawy. Będziecie je mieli w specjalnem zawiadywaniu, jako że wymagają osobliwej delikatności uczuć.

— Rozkaz, Wasza Książęca Mość... — zaszemrali wybrani.

Byli jednakże w srogim kłopotcie. Zadanie to nie jest różami usłane... Księżna nie rozumie opozycji i za każde „nie“, a choćby „ale“ pierze bez wahania po pysku: o policzek łatwiej niż o dzień dobry. A jakże tu kogo nakłonić? Koścista, klaczowata księżna o arcy-wysokiem nazwisku nie jest kąskiem łakomym; żeby chociaż miała te swoje kopalnie na Syberji... ale tak, czekaj tatka latka, końca bolszewizmu, gruszki na wierzbie.

Księżna tymczasem rozwijała plany:

— Doszło do mej wiadomości, że przyjechał tu poseł z Urugwaju. Moszennikow pójdiesz do niego i zaczniesz mnie swatać.

— W. Ks. M., poseł jest żonaty, wiem napewno.

— Niech się rozwiedzie.

— Czy zechce?

— A od czego ty jesteś?

— W. Ks. M., radłbym teraz i zawsze spełniać jej świętą wolę... ale naprawdę... w tym wypadku to zupełnie niemożliwe... Może przyjedzie jaki poseł nieżonaty...

— A ja właśnie chcę żonatego! Właśnie tak mi się podoba! Może raczysz to ganić? Dość! Widzę, że ty Moszennikow nigdy nie chcesz mi służyć, najmniejszej przyjemności nie mogę oczekiwać od ciebie, najmniejszej drobnostki. Zawsze stajesz wpo-

przek mym zamiarom. Dobrze. Zapamiętam to sobie. Możesz iść precz!

Księżna odwróciła się do Zośki i utonęła w rozpatrywaniu jej oblicza.

— Wasza Ks. Mość... błagam, niech księżna mnie wysłucha.

— Precz, slyszales?

— Wasza Ks. Mość...

Moszennikow był zrozpaczony.

Oszukiwał i okradał księżnę, tak, *dura necessitas*, ale jest naprawdę szczerze i głęboko do niej przywiązany, całym kultem, jaki ma we krwi dla tej ostatniej latorośli carów. Jeśli go oddali od siebie — jakże żyć bez niej? Jak ją obroni przed sforą pasożytów?

Oszukiwanie jej uważał za rodzaj monopolu swego, przywileju rodzinnego, na mocy węzłów wier-nopoddańczych. Przed każdym obcym bronić jej będzie jak pies! Położy się na progu i nie da ruszyć pani!

Runął na kolana i czołgając się przed księżną, bił głową o ziemię.

— Wasza Książęca Mość, przebacz! Wasza Książęca Mość, nie odpędzaj! Każesz, żebym sobie w łeb strzelił, strzelę! Tylko nie wypędzaj wiernego sługi!

— Dobrze, już, dobrze.

— Wasza Książęca Mość...

— Powiedziałam już, że możesz zostać — odparła księżna znudzona. — Czegóż chcesz jeszcze?

— Zaufania...

— Nie, *mon cher*, nie masz do tych spraw dość lekkiej ręki. Jesteś gruboskórny. Zresztą, cóż dziwnego? Wiadomo: mężczyzna. Lizowska się tem sama zajmie.

Moszennikow podniósł się, otrzepując kolana. Czerwony jak upiór dławił się od łez i wściekłości.

Ach, te tryumfujące uśmiešky tej jędzy przymilnej. Patrząc na niego z ukosa, szeptała coś do ucha księżnej. Żmija! Zobaczycie, ona pewno już i kawalera gdzieś wytrzasnęła.

W parę dni później było wielkie przyjęcie u księżnej na cześć hrabiego Ku-Ku-Ry-Ku, wielkiego kanclerza królestwa siamskiego.

Lizowska dowiedziała się o przyjeździe tego dygnitarza i zaraportowała swej pani. Wrawdzie żonaty, ale — dodała spiesźnie, nim księżna zdążyła coś jej w głowę rzucić — w Siamie istnieje wielożeństwo. Tego samego dnia wydelegowana została w celu powiadomienia skośnookiego dyplomaty, że taka to a taka Wysokość zdecydowała się porzucić dziewictwo i w tym celu wydaje wieczór.

— Nie chcę słyseć o odmowie, rozumiesz?

— Rozumiem, Wasza Książęca Mość...

Lizowska ruszyła, walcząc między nadzieją a rozpaczą. Obawa uskrzydliła jej wymowę. Uszom pra-

wie nie wierzyła, gdy dygnitarz przyjął zaproszenie odrazu, bez wykrętów, do których ostatnio tak nawykła.

Aby wykazać całą delikatność swej dostojnej mocodawczyni, dodała z własnego natchnienia, iż księżna kazała nagotować kupy ryżu i przysposobić pałeczki — i tą niewczesną gorliwością o mało całej sprawy nie popsuła, albowiem hrabia Ku-Ku-Ry-Ku, który już dawno warkocz obciął, uczuł się niesłychanie dotknięty napomknieniem o tem, o czem chciał zapomnieć. Nieszczęsna dama dworu rzuciła się na kolana, błagając, aby darował jej głupotę, bo jeśli księżna się dowie...

Willę oświetlono z przepychem. Salony olśniwały blaskiem klejnotów, orderów, mundurów galowych. Księżna w mundurze swego pólku, wyglądała jak herold kabaretu paryskiego. Lizowska czyniła honory domu z miodowym uśmiechem. Poprzez rośliny, pnące się po ścianach, ukazywały się oczom gapiów obłoczne postacie czarodziejek, shim-mujące w objęciach uniformów, i wyłożona jak ołtarz Buddy postać dygnitarza siamskiego.

Księżna z wyrazem niekłamanego wstrętu na twarzy — pomyślcie tylko: mężczyzna — podała mu rękę do kolacji. Odwracała się ku Zośce i w oczach jej szukała siły i odwagi. Zaraz też po toastach, przechodząc do salonu, puściła trzymane końcami palców ramię hrabiego i przytuliła się do

Zośki, szukając tutaj odpoczynku po nieczystych dotknięciach.

— Zaśpiewaj, laleczko.

— Niech pani raczy zaśpiewać... — zaszemrał zaraz tłum kornie.

Zośka stanęła posłusznie przy fortepianie. Lizowska przebiegła klawiaturę kilku uczonemi pasażami...

Przez otwarte okna buchały z ogrodu wonie sianokosów. Kwietniki pełne rezedy słały zapachy swoiste, znane. Za szpalerem grabowym, odcinającym rezydencję od budynków dla służby, widniały przyklejone do liści twarze dzieci. Z otwartymi ustami pochłaniały wzrokiem zabawę „państwa“. Zośce zdawało się, że widzi samą siebie w Osinach.

Jakże inny był świat, oglądany od podwórza.

Zapach kwiatów rodzinnych niósł jej bajkę dzieciństwa. Po raz pierwszy od tyłu, tylu lat rozjaśniło się w duszy przeszłością.

Ach, żeby można na jeden dzień, na godzinę...

Pójść, zobaczyć... Wole, Osiny, matkę, wszystkich...

Zobaczyć, odetchnąć długo, długo, powietrzem pół... i wrócić... do swej taczki złocistej.

Śpiewała tak jak niegdyś w Osinach, zapominając o wdzięcznej pozie, o prawidłowych portamentach, o wszystkim, czego ją uczono. Wyśpiewywała z siebie utajoną, nieświadomą tęsknotę... Gdy

przestała, gdy rozległy się oklaski, gdy księżna ucałowała ją w usta na podziękowanie, otworzyła szeroko oczy i nieledwie miała ochotę przetrzeć czoło: gdzie jest? — Prawda-ż to, że tamto już znikło na zawsze?...

Zaledwie dostojny „konkurent“ opuścił gościnne progi willi, księżna zaczęła głośno ziewać. Było to hasłem. W okamgnieniu świetne towarzystwo rozjechało się na wszystkie strony Warszawy. Tylko Lizowska, Zośka i nieliczni jeszcze wybrani zostali łaskawie dopuszczeni do asystowania księżnej w trakcie przejścia do sypialni oraz wysłuchania jej wrażeń:

— Zadowolona jestem. Chodźcie moje dzieci. Proście mnie, o co chcecie, ale proście prędko, bo chce mi się spać. Nie będzie powiedziano, że Zina Piotrówna jest niewdzięczna.

Pierwszy zapukał Moszennikow z za drzwi.

— Czego chcesz?

— Rączkę pocałować...

Podano mu rączkę (ósmą numer rękawiczek) przez drzwi.

Po sumiennem wycałowaniu dodał jeszcze, że pragnąłby, aby jego siostrzeniec dostał zaszczytu służenia księciu, bratu Jej Wysokości. Lizowska natomiast nie pragnęła niczego. Zadowolenie księżnej jest jej najwyższą nagrodą i niczego innego nie żą-

da. (Bo ten *fermoir* to jej obiecano już dawno, nie jako nagrodę za usługi, które są jej psim obowiązkiem, ale jako łaskę księżnej).

Księżna podała *fermoir*.

— Nie całuj, daj mi spokój. A laleczka?

Zośka już tylko w milczeniu pocałowała ofiarowaną dłoń.

— Laleczko, mów. Ty jedna jesteś bezinteresowna. I dlatego właśnie dostaniesz wszystko, czego chcesz. Mów, złotko moje, prędko.

Oczy Lizowskiej migotały chciwością. Gęś! Nie widzi tych pereł? Stoi i nie otwiera ust. Gęś!

Pod naciskiem głaszczącej jej dłoni Zośka wyjąkała wreszcie:

— Może kiedy Wasza Książęca Mość przypomni sobie moją gorącą prośbę...

— Jaką prośbę znowu?

— Takbym pragnęła śpiewać... w teatrze...

— Będziesz śpiewała. Przysięgam ci. Mam chyba jeszcze tyle znaczenia, choć jestem nędzarką, aby moja przyjaciółka śpiewała w teatrze. Nic już nie mam, ale tyle to mi chyba i najgorszy wróg nie odmówi.

Wreszcie ukończyły się czułości i codzienna czułość. Zośka już wychodziła, gdy Lizowska pobiegła za nią.

— Odwiozę cię do domu. Albo chcesz, pojedźmy do mego *tea-room*. Zobaczysz jak tam wesoło. Po-

tańczymy. Mówiono mi niedawno o tobie, ach, z jakim zachwytem.

— O mnie?

— Pragnie cię poznać ktoś bardzo dystyngowany, na wielkiem stanowisku. Umiera już oddawna z chęci poznania ciebie...

Na ubocznej ulicy, w cieniu drzew, widniał na pierwszym piętrze szereg oświetlonych okien. Lizowska pociągnęła Zośkę i wprowadziła ją cicho, otwierając drzwi swoim kluczem.

Pokoje, wybite jak bombonierki jaskrawemi materjałami, pełne były gwaru i śmiechu. Szereg par wykonywał pod muzykę uczone elipsy modnych tańców. Przy rozstawionych stolikach grano na zabój. Choć przybytek nazywał się herbaciarnią, obnoszono wszelkie istniejące napoje, tylko nie herbatę.

Zaraz w przedpokoju na Lizowską rzucił się młody oficer i ucałowawszy jej ręce wciągnął ją przymocą do tańca.

— *Voyons, voyons, mais vous êtes fou!*...

Z kanapy podniósł się niski, zgarbiony i pokrzywiony jegomość i kulejąc dążył ku Zośce.

— *Chérie*, to właśnie prezes! — rzuciła jej Lizowska w przelocie.

Prezes, krzywiąc się trochę z bólu, prowadził Zośkę do swej kanapy, przed którą zaraz wyszkolona pokojowa w *coiffe* bretońskiej postawiła stolik na-

kryty na dwie osoby i srebrny kubelek z szampnem.

— Winieniem pani podziękę, gorącą podziękę...

— Mnie?...

— Pani...

Patrzył w nią spłowiałymi oczyma, w których było coś z niesamowitej gorączki czy pożądania.

— Ale pan mnie nie zna!

— Kto to powiedział?

Nalewał kieliszki i powtarzał:

— Ja pani nie znam? Ja pani nie znam?

— Nie przypominam sobie doprawdy.

Wytrzymując jej wzrok pytający i napatrzyszysię dowoli, przemówił wreszcie:

— Miałem przeczucie istnienia pani... Takie cudne włosy złote mogą się urodzić tylko pod niebem, które wydało Tycjana. Pani zapewne jest Weneccjanką? Znam i kocham Wenecję. Marzyłem na Lido...

Zośka słuchała z niedbałą łaskawością. Zapomniała już, że się nazywała Koniuchówna.

Nagle rozległ się wrzask:

— *Il trichel! Il triche! On ne le fait pas à moi!*

— Ciszej, na miłość boską! Ludzie się zleca! Policja przyjdzie!

— Niech przyjdzie! To nie ja się boję policji! — wrzeszczał czarnobrody cudzoziemiec, waląc pięścią w stół.

Lizowska przybiegła, rozlewając uśmiech jak balsam. „*Voyons*, baronie, o co chodzi? O marne parę tysięcy?“ Rzuciła słówko dowcipne w przelocie, uderzyła kogoś rękawiczką po dłoni. Gruby osobnik, rozparty w fotelu, wiódł za nią zażawionemi od czkawki oczyma:

— Feja, jak mi Bóg miły feja...

Zadrgały chrapliwe tony granego w Londynie *shimmy*. Ktoś porwał się od stołu i zaczął tańczyć pod muzykę radiową. Ktoś inny podjął znaną melodję i wnet za nim chór cały zaintonował:

— Wołga! Wołga!

— A co, jak u mnie wesoło? — szepnęła w przelocie Lizowska do Zośki. — Zaraz przejdziemy obok, na kolację. Ty naturalnie z prezesem. Wypisałam ci parę słów na kartce. Przeczytaj i postaraj wypytać go o to... dostaniesz za to bardzo ładny prezent...

Kolację podano przy małych stolikach, otoczonych parawanami z kwiatów, oświetlonych małemi lampkami w różowych abażurkach. Prezes sięgał po rączkę Zośki. Osmętniałe oczy zwrócił na jej biust. Łzy szklily mu się pod powiekami. Rzewnym szepcieniem zwierzał jej się:

— Życie moje nie było szczęśliwe... Nie. Było jednym wielkiem nieporozumieniem... Znalazłem raz istotę... Ach, zdawało mi się, że już... i ja zaznam tego, o czem marzą poeci... Niestety...

Spełnił toast bezimienny... niewiadomo na czyją cześć.

— Moja ukochana miała szczura... białego szczura. Nazywało się to Kiki i biegało po wszystkich sprzętach: to na spluwaczce, to znów na talerzu, na stole. *Je n'y pouvais plus...* Powiedziałem: szczur albo ja. Odparła: szczur. I rozstaliśmy się...

Lizowska przesunęła się i pochyliła nad Zośką, jakby w pocałunku:

— *Chérie*, masz odpowiedź?

Muzyka na ogólne żądanie powtarzała bez końca: Wołga! Wołga! Przesuwano sobie wzajemnie *menu* i na odwrocie wypisywano nazwiska. Prezes zażarcie całował litery, które opiewały: *Zośka*.

— Kiedy on zupełnie pijany... — szepnęła Zośka.

— *Tant mieux...* prędzej ci powie.

— Widzisz, bo...

— Co?

— To są jakieś sekrety państwowe... nie wiem, czy powinnam...

— Ach, jakaś ty... naiwna... gdyby nie były sekrety państwowe, toby ci nie placili...

— Nie, wolę nie...

— Niech że cię uściskam... wiesz, że jesteś naiwna. Nie chcesz, to nie: zwrócę się do kogo innego... Paradna jesteś, paradna...

Odplynęła ku innej grupie, powtarzając sobie w duszy:

— Geś, geś, dobry Boże, co za geś! Z taką nic nie poradzi. Ach, co za geś! — i uśmiechnęła się do grubego osobnika o zaropiałych oczach.

— Feja! Feja! — utrzymywał stanowczo, męczony przez czkawkę wielbiciel. — Ma podwiązki zielone z różyczkami... od Hersego... Na honor... innych nie nosi Feja...

Orkiestra powtarzała coraz głośniej i huczniej: Wołga... Wołga...

Zośka odbierała wiele wizyt w swym apartamencie w Bristolu, z balkonem, wychodzącym na Krakowskie Przedmieście.

Od rana do wieczora odwiedzali ją znajomi i znajome znajomych i przygodne znajomości z *foyer* teatru lub *hall'u* restauracji. Popisywano się francuszczyzną i angielszczyzną mniej lub więcej autentyczną.

Przychodziły młode entuzjastki, które składały jej w hołdzie wiązki kwiatów. Młodzi literaci znosili utwory w nadzieji, że je przesze do Włoch i wsławi tam ich imię. Zośka przyjmowała wdzięcznie, składała na stole, a nazajutrz pokojowa wynosiła wszystko na śmietnik.

W słoneczne południe przechadzała się przed hotelem Europejskim, gdzie spotykała takie same jak ona ptaki egzotyczne. Komunikowano sobie nawzajem nowiny wyczytane w gazetach francuskich. Nie-

którzy przyjmowani byli przez księżnę i to im da-
wało asumpt do dowiadywania się o zdrowie „uko-
chanej Wysokości“, choć Wysokość za ich plecami
objaśniała poufnie:

— To mój przyjaciel, tylko nie wiem, jak się
nazywa. Nie radzę również pozostawiać go sam na
sam z portfelem...

Ci, którzy u ukochanej Wysokości nie byli przy-
mowani, pękali z zazdrości. Pewien paskarz ofia-
rował Zośce czek wielocyfrowy, jeżeli wprowadzi
go do księżnej, choćby na parę minut...

Zośka, za przykładem księżnej, już się nauczyła
kiwać głową z góry, a często i nie poznawać osób,
które nie należały do otoczenia Jej Wysokości.

Niebawem wystąpiła w operze.

Widownia była przepelniona. Poprzystawiano na-
wet krzesła. Publiczność, ta osobliwie, która roz-
pierała się w pierwszych rzędach, przynosiła jaja
na twardo i raczyła się nimi w antraktach, a jeszcze
w pięć minut po podniesieniu kurtyny kończyła bez
pośpiechu nawiązane uprzednio rozmowy.

Księżna była w łoży z Lizowską, Moszennikowem
i całym dworem, w którym wyróżniała się mała
fertyczna panienska o strzesze krótkich włosów, ko-
loru zwiedłych liści. Księżna była dla niej bardzo
uprzejma, a ona przyjmowała to bez zakłopotania,
jak rzecz należną.

Łoża ta powitała Zośkę grzotem oklasków. Mo-

szennikow dwie pary rękawiczek zdarł i ochrypl od wrzasku „Zośka“. Były to jednak jedyne oznaki życzliwości. Pierwsze rzędy krzesel, zajęte transakcjami giełdowymi, nie miały czasu, a wyższe piętra milczały. Koleżanki skupione za sceną filozoficznie patrzyły na wejście intruza.

Zdawało się Zośce, że otacza ją nieprzelamany mur nienawiści. Czemu, mój Boże? Starala się czarem swego głosu stopić ten wał lodowy. Zdawało jej się, że śpiewa w próżnię. Najbardziej słowicze tony, te, któremi przywykła do łez wzruszać publiczność w Costanzi, objęły się bez echa o znudzoną obojętność tłumu.

Tylko w pierwszym rzędzie jakiś jegomość walił brawo bez opamiętania. Był jej znajomy, dziwnie znajomy. Ale skąd? Szukała pamięcią: Paryż? Florencja? Rzym, nie Rzym?...

— Józiek Wojciechoszczak! — krzyknęła nagle.

On, ten sam! Pojechał do Ameryki i widać wrócił z dolarami. Rozpiera się na pierwszym miejscu i patrzy na jej niepowodzenie...

Odtąd śpiewała dla niego, jak dla jedynej duszy życzliwej, i on, jakby w odpowiedzi, klaskał jak opętany.

Łoża księżnej opustoszała przed końcem, jak tylko Zośka odśpiewała ostatni takt swej roli.

Przebrana w suknię balową jechała na wielki obiad, wydany przez księżnę dla uczczenia pierw-

szego jej występu. Powitał ją szmer pochlebny, Lizowska ucałowała jak zawsze, a księżna przypięła szpilkę brylantową do piersi.

— To dla ciebie, laleczko. Dalej, siadajmy do stołu, głodna jestem jak wilk.

Dzieliła się jednak między nią a ryżą panienczką. Przegarniając z roztertowaniem złote warkocze Zośki, szukała oczyma tamtej:

— Dokończ no, mała, opowiadania. Co robisz teraz?

— Pomaga mi w mojem *tea-room* — wyręczyła zakłopotaną Lizowska. — Tyle roboty, więc rozumie W. Książęca Mość...

— Rozumiem, ładne kanalje mi sprowadzacie, ale to nic. Jesteś ładna, moja mała, a ładna kobieta jest tem, na co wygląda.

— Ja myślałam...

— Nie myśl tylko, proszę cię, od myślenia jest Lizowska. Ty masz tylko na jutro lepiej wyszczotkować włosy, bo są dość ostre. Ot, popatrz na warkocze laleczki.

Były to jedyne słowa, któremi Jej Wysokość uczciła bohaterkę wieczoru.

Usiadła pod oknem, zdala od tronu i jego satelitów.

Lizowska podeszła do niej wreszcie:

— Nie przejmuj się chłodem publiczności. Nie trzeba przykładać miary zapалу rzymskiego tutaj.

Tutaj jest północ, ludzie chłodniejsi i powściągliwsi.

— Czulałam wprost nienawiść... Dlaczego? Za co?

— Moja droga, zjawiałaś się tutaj ni stąd, ni zowąd, jesteś solą w oku wszystkich przekwitłych klemp. Nie starałaś się zupełnie o przychylność krytyków...

— Cóż komu zawiniłam? — żaliła się Zośka.

— Nie umiesz, nie umiesz moja droga. Nie miałaś reklamy: nikt nie pisał o królu murzyńskim, co się zastrzelił dla ciebie, ani o kopalni złota, którą ktoś inny ci podarował. Bez reklamy nie można, ma *chère*. Publiczność zawsze i wszędzie jest głupia. Nie rozumie najpiękniejszych rzeczy, jeśli jej nie powiedzą, że są piękne.

— Są przecież ludzie, znający się na sztuce...

— Kto? Moszennikow? Albo ten paskarz o brudnych paznogciach, co siedział z magnifiką koło nas w łoży?

— Nie wiem... muszą być jacyś inni ludzie.

— Niewątpliwie są i pewna nawet jestem, że siedzieli tam gdzieś na górnych piętrach. Ale to garstka, zagłuszona przez tłum. I zresztą tych, moja droga, zraziłaś sobie odrazu, bo występowałaś pod egidą Rosjanki. Nie wszyscy tutaj śpiewają „Wołga! Wołga!“ niestety!

— Ja się tak cieszyłam, tyle sobie obiecywałam.

— Drobnostka! Ty masz tyle innych danych.

— Nie wiem co robić teraz? Upierać się i wystąpić jeszcze parę razy, czy zrezygnować?

Lizowska patrzyła na nią bacznie.

— Porozumiejmy się, o co ci idzie? Czy to miłość dla sztuki, czy...

— Tak miłość dla sztuki — odparła Zośka, niezbyt pewnie.

— Któż ci broni śpiewać po salonach, dla wybranych?

— Ale ja chcę zarabiać!

— A, to co innego. Sztuka nie jest do zarabiania. *Mais chérie*, piękna kobieta ma tyle sposobów... Hołdy ścielą się jej do stóp, a ona przetapia je na złoto.

— Nie wiem jak.

— Zapoznałam cię z prezesem...

— Hrabino Lizowska! — zabrzmiał chrapliwy głos Jej Wysokości. — Gdzież się podziewasz przez cały wieczór?

Dama dworu pomknęła jak płomyk ku swej chlebowczyni.

Zośka patrzyła przez okno. Zobaczyła uciekające dzieci stróża, które usiłowały zajrzeć do salonu.

— Tak ja niegdyś... Tak jak ja...

Poczuła naraz głód. Prawda, że nie jadła dzisiaj nic od rana. Podeszła do stołu, ale służba już sprzątnęła wszystko. Księżna zapomniała dzisiaj ją nakarmić. Rozżalona odeszła do przedpokoju i kazała po-

dać sobie okrycie. Nikt nie wybiegł za nią i nie protestował. Mała wiewióreczka pokazywała właśnie jakąś sztukę magiczną, a księżna, w najwyższym stopniu zainteresowana, śledziła ruchy jej zwinnych palców. Dwór ze skupieniem otaczał kołem obie niewiasty.

Znużona i głodna Zośka poszła spać po pierwszym w Warszawie wystąpieniu bez szklanki herbaty.

Nazajutrz od rana zameldował się Zośce pan Józef Wojciechowski. Miał elegancki garnitur dobrego kroju, zbyt jaskrawy krawat i złoty łańcuch przy zegarku. Ręce jego były grube i narobione, ale czyste.

— *How do you do?* — zapytał, wyciągając dłoń na powitanie. — Poznajesz mnie, co?

— Józiek!

— Mówimy sobie tak jak dawniej: ty, co? Ty coprawda jesteś wielka pani, ale i ja nie ułomek. Ha-ha, ha! Wyrosłaś na piękną kobitę, ale zawsze byłaś niczego.

— Siadaj, siadaj — wołała Zośka wzruszona.

— Dasz herbaty? Bo ja bez herbaty nie mogę.

— Ile tylko chcesz.

Przyniesiono herbatę. Zośka nalewała i prosiła:

— Opowiadaj, co się z tobą działo przez tyle lat!

— *Well*, zaraz ci powiem. Mówisz po angielsku, co? Nie? To szkoda, bo ja jużem odwykł od polskie-

go. Harowałem ci ja latami całemi, i na wozie, i pod wozem, i całkiem bez wozu, ha! ha! ha! Alem w kaszę nie dał sobie dmuchać! Mam grosze, *you know*? Kupilem folwark w Osinach od młodego pana, pamiętasz? Wtedy był smarkaczem, przyjeżdżał na lato. Ożenił się później z córką dziedzica. Teraz siedzą w Warszawie na bruku w dwóch pokoikach. Osiny po...szły! poszły na podróże i konie wyścigowe. Dwór spalono podczas wojny. To nic, wybuduję sobie nowy dom, po amerykańsku. Moich starych osadzę u siebie. Ja tam im chleba nie poskąpię na starość, całe życie w mordędze, niech tera mają spokój na ostatnie lata. Choć ja mam tera inne zapatrywania i oczy mi się na niejedno otworzyły. Ej, Zośka, a możebyśmy tak razem pojechali do Woli? Toby się tam porozdziawiały gęby!

Odparła cicho:

— Mój ojciec już umarł... już dawno...

— No *matter*. Taki los: jedni umierają, drudzy się rodzą. Pokażę ja tym ciemnym ludziom, jak i co. Siedziało to na wsi i świata nie widziało i tylko umiało harować. A i dziedzic też nic innego nie potrafił, jak puścić tyli majątek. Ja dopiero zaprowadzę porządek, o jakim się ludziskom tutejszym nie śniło. Przywiozłem ze sobą dużo dolarów, *you know*?

Zośka odpowiedziała:

— Ale pracę zostawiłeś w Ameryce.

— Nie mydło, nie wymydli się, starczy i na tutaj. To wielka rzecz, praca, wielka *you know?* Co to można zrobić, co to można zrobić, jak się pracuje!

Zapijał herbatę i rozpowiadał:

— Wszystko, co mi się zachce, to mogę mieć. Jem w najlepszej restauracji, piję wino, choć to djabelnie kosztuje na marki, ale co mi tam te marki! Cegielkę wawelską kupiłem, moje nazwisko stoi w Kurjerze: patrz.

Wydostał zmięty numer starej gazety i wskazywał na podkreślony czerwonym ołówkiem wiersz: Józef Wojciechowszczyk, repatrjant z Ameryki.

— Swatają mnie tu z jedną hrabianką — ciągnął — raut dla mnie urządziły. Jenó, że mi się panna nie podoba. Ja jestem demokrata, co mi tam hrabia, czy nie hrabia, ten ci sam człowiek.

Popił znów herbatą. Z upodobaniem patrzył na Zośkę.

— Ale to ci panna wyrosła! Nawet nie wiem, może i wyszłaś za męża?

— Nie.

— A pamiętasz jak my to śpiewali o tym Jaśku, co mu się zmarło i o kwatereczkach?

Zośka zanuciła:

— Oj nie płaczcie Lublinianki, nie płaczcie,
lepiej jego kwatereczki zapłaćcie!

Józiek wyciągnął na całe gardło:

— Jedna mówi: kwatereczków nie pila,
Nie będę ja po karczemkach płaciła.

Zośka odśpiewała najpiękniejszym sopranem:

Druga mówi: mam ja krowę i ciele,
Zapłacę ja karczmareczce niewiele!

Józiek dokończył:

Trzecia mówi: mam ja krowę i owce,
Zapłacę ja karczmareczce, co zechee!

— To ci się dopiero postawiła! Kochająca panna
była, jak mi Bóg miły!

Śmieli się oboje, widząc przed oczyma wygon
i pasące się krowy i dymy z komina fabrycznego.

— Wiesz Zocha, żebyś ty chciała, tobym się
z tobą żenił.

— Naprawdę?

— Dobrzeby nam było. Mieszkalibyśmy sobie
w Osinach, jak państwo. A i moi starzy woleliby
ciebie, niż jaką synową ze świata, coby na nich
z góry może patrzyła. Choć jabym nie pozwolił:
oho! u mnie mores być musi! Chodzilibyśmy sobie
po salonie, jak dziedzice. Pamiętam ci ja dobrze
Osiny: małym tam jablek nakradł w sadzie!

— Naprawdę chciałbyś się żenić?

— Z tobą? Choćby dziś do ołtarza. Swoja krew!
Co mi tam cudzych szukać!

Zośka zdrętwiała: ileżby trzeba mu wyznać! On by nie zrozumiał. Niktby tego nie zrozumiał. Cóż dopiero przebaczyć.

— Cóż, Zocha? — kusił Józiek podniecony wspomnieniami dzieciństwa.

Powiodła głową przecząco.

— Nie chcesz?

— Nie... mogę.

— Szkoda. *Well* — rzekł bynajmniej nieurazony — na mnie już czas. Mam się tu spotkać z jednym, targuję automobil. *Good bye, Zocha!*

Ścisnął mocno jej rękę i wyszedł, stukając obcasami.

Patrzyła za tą krępą, silną sylwetą w oblóczeniu angielskiego garnituru, niczem nie gorszą od spotykanych u Lourse'a czy w Bristolu. I znów ujrzała się z wiązką chrustu, gdy on w roli masztalerza jechał za panną Stefanją i jej narzeczonym...

A on nie wstydzi się bynajmniej przeszłości, mówi o niej otwarcie...

— Zocha — zawołał Józiek, wracając już z kurytarza, — zagadałem się z tobą i zapomniałem o najważniejszym. Ja tu widziałem się z Mańką i jej mężem. Chcesz pójść do nich ze mną?

— Z Mańką?

— No tak, z twoją siostrą! Jest tu za stolarzem.

Przerażenie zamigotało w oczach Zośki. Mańka i jej rodzina, wobec księżnej, wobec Lizowskiej. Nie śmiała mu się przyznać: wstydziła się swego wstydu.

— Dobrze. Pójdę z tobą.

— Tylko — zawahała się — czy oni wiedzą co o mnie?

— Nic nie wiedzą, nawet czy żyjesz? I ja bym nie wiedział, gdybym cię wczoraj w teatrze nie poznał.

— To im nie mów. Pójdziemy, ale nie mów nic o mnie.

— Dobrze.

— Patrzcie, jaki to... — myślała Zośka. — Pracował, pracował długie lata... ale teraz jest pan. I ręce nie takie straszne.

Ręce zawsze były jej zmorą. Od chwili gdy raz zobaczyła we Florencji, na Borgo San Frediano starą kobietę o brudnych rękach i jej palce, zakończone szponami, podobnymi do pazurów, wyobrażała sobie, że powrót do Osin, to znaczy powrót do takich rąk.

Spojrzała na swe pieszczone dłonie, powierzane staraniom manicurzystki, opłacanej przez księżnę.

— A Józiek wcale, wcale...

Ale wyjść za niego, nie, nie.

Już ma dosyć pocałunków, dawanych zimnymi ustami, pieszczot, któremi pozwalała się obsypywać dla karjery, za *engagement*, uścisków z myślą, aby

już wrócić prędzej do swego zimnego, pustego łóżka. Trzeba raz już to skończyć. Dość.

W parę dni później poszła z Józkiem do Mańki.

Mieszkali pod Zjazdem, na ulicy Garbarskiej. Mąż jej miał warsztat stolarski, ona pralnię. Pokoiki były brudne i zatechłe, ale zamożność wyczierała z kanap wyścielanych, z dużych szaf, z wycinanek na ścianie. Mańka roztyła się i zbabiała. Nosila modne pejsy po bokach czoła i srebrny zegarek w bransoletce na tłustej ręce.

Przemawiała zwolna, z godnością pani „na swoim“.

— Olaboga, Zośka! To ona! Oczom nie wierzę. Skądżeś ty się tu wzięła? Co porabiasz?

— Przyjechała i jest — przeciął Józiek rozprawy. — Zamiast jej pytać, wy jej lepiej powiedzcie wszystko o familji, bo ona biedactwo nic jeszcze nie wie...

— Biedactwo! Żyła sobie jak pani przez tyle lat i nie zatroszczyła się o nikogo, choć nam krew tryskała z za paznogci w mozole i jeść nie było co. Jak nam dobrze, to zaraz krewni się znajdują, a kiedy człowiek zdychał...

— Dosyć, dosyć, pani Jasiowo! Ani Zośka, ani ja nic od pani nie potrzebujemy. Przyszli my z przyjaciźni, jak do swoich.

Udobruchana trochę Mańka przesunęła wzrokiem po pańskich szatach siostry.

— To ty nie wiesz, że matka umarła i ciotka umarła i Stasiak umarł?

Zoska milczała. Mówiło jej o tem oddawna, oddawna ciężkie przecucie serca, gdy odpychała nerwowo myśli „o domu“.

— Z jakiej przyczyny? — spytała cicho.

— Tyfus. Głód był. Niemcy zabierali wszystko. Stasiak próbował szmuglować; z początku szło mu dobrze, potem Niemcy wsadzili go do więzienia, zaraził się i umarł. Matką poszła za nim. Nawet sukienki nie mogliśmy porządnej dać jej do grobu, bo łachy z nas spadały, nic nie mieliśmy.

Potem ciotka... Oj, ciężko, ciężko było. Kto nie był tutaj, nie zrozumie. Ludzie padali z głodu, jak muchy. Straszna rzecz wojna. Jednej nocy uciekliśmy piechtą przed wojskiem, pięć mil w deszcz i zawieruchę, bo strasznie byli łasi na kobity. Raz Moskale, to znów Niemcy. Oj, moja kochana, że bym sto lat żyła, to ci wszystkiego nie opowiem. Bóg łaskaw, żem uszła z życiem. Teraz nam dobrze, niema co się skarżyć...

Obejrzała się i ciszej do ucha zaczęła jej szeptać:

— Wiesz siostrze, a co ja ci miałam z tym krawczykiem, ładny kram, ale cicho, przeszło, mój nic nie wie, nie trzeba nic mówić, piekłoby mi robił, taki zazdrosny.

W tej chwili wszedł pan stolarz, a za nim usmolony wyrostek szesnastoletni.

— To moja siostra, a to brat męża — przedstawiała Mańka. — Siadajcie moje państwo, zaraz nakryję do stołu.

Zastawiała suto na półmiskach kielbasę, placki, przyniosła i wódkę w karafkach. Stolarz oglądał z ukosa znaną mu tylko z niejasnej legendy szwagierkę. Ładna, psiakość. Z ubrania widać, że bogata, a i to, że ją przyprowadził pan Wojciechowski, świadczy, że nie jest byle kto. Pan Wojciechowski to magnat, znany na całe Powiśle.

— Pani do nas na długo?

— Może i na długo, nie wiem.

— Słyszałem, że pani długo bywała zagranicą. Byłem i ja w Gdańsku, ale raz tylko.

— Do stołu moje państwo — zaprosiła Mańka.

— Ja koło panny Zofji — oznajmił Józiek, — a z drugiej strony poproszę o butelkę. Zawsze lepiej bliżej: będę ja o butelce pamiętał, to i o mnie butelka popamięta.

— Ha, ha, ha! — odpowiedział śmiech gospodarstwa.

Usmolony wyrostek pociągnął stolarza do kąta:

— Bracie, wrobi mnie brat?

— Siadaj z nami, napijesz się.

— Niech tylko brat nie zapomni i wrobi mnie do Górskiego.

— Bądź spokojny, jak ja ci mówię, że cię wrobię, to cię wrobię. Siadaj teraz...

— Nie mogę. Mam kursa wieczorne, muszę lecieć. Wziął czapkę, skłonił się niezgrabnie i wybiegł jak oparzony.

Mańka wzruszyła ramionami.

— Cały dzień pracuje, a wieczorami na kursa lata. Potrzebne to?

Stolarz wstał z kieliszkiem w dłoni:

— W ręce pani bratowej!

— Dziękuję, nie piję wódki.

— Moja droga, u nas po prostemu, musisz wybaczyć. Na wino nas nie stać — rzekła Mańka z pewną obrazą.

Zośka przyjęła kieliszek i wychyliła, zakrztusiwszy się przy przelękaniu.

— Na zdrowie! — huknął Józiek. — Odwykła nam panna; na drugi raz pójdzie lepiej! A gdzie to bąki?

Zawsze w roli wesółka pobiegł do drugiego pokoju i powyciągał dzieci.

— Co pan najlepszego robi — protestowała matka. — Umorusane to, rozczochrane! Właśnie miałam je ubrać do gości... a pan...

— Niech też nasza Zocha zobaczy swoich siostrzeńców. Ładne, co?

Ciszej Zośce na ucho szepnął:

— Chcesz, Zocha? Jak się pobierzemy, będziemy mieli takie same.

Kolejki szły za kolejkami. Mańka piła wespół z mężem i gościem i nie przestawała zachęcać Zośki.

— Pij, siostró, widzisz, że mamy tego dosyć. Nie brak, dzięki Bogu. Jak kogo fetujemy, to z całego serca, nie tak jak inne fałszywe ludzie, co tylko sami aby się najęść i napić, a drugiemu to nic nie użyczą!

Pomimo szczodrej gościnności stolarstwa Zośka podniosła się wkrótce.

— Tak prędko? I to siostra do siostry? Po tylu latach? — biadała Mańka. — A ty gdzie mieszkasz?

— Nie mam jeszcze stałego mieszkania...

— Wiadomo, że teraz trudno o mieszkanie. Ja wiem o jednym, coby sprzedał swoje — rzekł stolarz. — Na Wroniej. Trzy pokoje i kuchnia, ale chce dużo, pięćset dolarów.

— Można pannę Zofję odprowadzić? — zapytał Józiek.

Na pożegnanie dostała jeszcze gabinetową fotografię Mańki, męża jej i dzieci w świątecznych strojach.

— Nie, Józiek — rzekła do towarzysza, gdy weszli powoli na górę, na Zjazd. — Dziękuję ci, ale nie idę do domu. Chcę być sama.

— *Well*, jeśli chcesz być sama, to ja jeszcze wrócę do Mańki.

Patrzył za nią, gdy odchodziła za ruchomy wał wozów i tramwajów, ku miastu. Jaka to piękna kobieta! Byłaby z niej żona, jak się patrzy!

Zośka wstąpiła do kawiarni i wychyliła dwie

szklanki herbaty jedną za drugą. Paliła ją okropna wódka. Jak to ludzie pić mogą!

Siostra... Siostra rodzona... Jakże daleko już odeszły od siebie. Życ z nimi nie mogłaby już. Trudno. W żaden sposób.

— Sama jestem — myślała. — Sama na świecie.

Pewnego poranka Lizowska wpadła bez pukania i od progu wołać zaczęła:

— Co to się dzieje u nas! Co to się dzieje!

Spiesznie Zośka rzuciła chusteczkę na fotografię, która jeszcze od czasu wizyty rodzinnej leżała na stole. Zaprawdę, to nie obraz dla oczu Lizowskiej.

— Księżna cię wzywa. Wogóle, już sama nie wie, kogo ma wezwać. Sądnym dzień. *Entre nous*, myślę, że karjera Moszennikowa skończona na zawsze u Jej Wysokości.

— Co się stało?

— Nie słyszałaś? Nic?

— Nic a nic.

— No, to posłuchaj! Romanse, mówię ci, z powieści kryminalnej!

Z grającymi w oczach światełkami, Lizowska sączyła z lubością:

— Wiesz, *chérie*, że Moszennikow, mimo swego wieku i tego, że ma tam jakąś żonę zagranicą, nie gardził tutaj niewiastami. Ma tancerkę, czy szwaczkę, Wiedenkę, którą zameldował w hotelu jako

swoją siostrę. Rozumiesz, że w hotelu nie sprawdzano, skoro Moszennikow tak mówi. Przed paru dniami pokłócili się, była taka scena, że aż pokojówki interwenjowały, krzesła latały w powietrzu. Potem pogodzili się, ale Niemka knuła zemstę. I oto co wymyśliła. Zjawia się w policji elegancka, zawołowana dama i powiada, że jest siostrą hrabiego Moszennikowa i że obecnie, wskutek działów majątkowych, wynikły spory między nim a resztą rodziny; jest on tak podniecony, że grozi rewolwerem... „Rozumie pan, panie komisarzu, warjat, my rodzina jesteśmy zaniepokojeni, gdyby mu można odebrać rewolwer na parę dni, zanim się nie uspokoi“. Piękna dama prosi, oczywiście siostra, nie można odmówić. Policja grzecznie, cicho skonfiskowała wszelką broń palną i nie palną, którą tam znalazła. Tej samej nocy *la bella* przyszła jak zwykle do tego starego osła i w chwili gdy gruchali w najlepsze, drzwi otwierają się, wchodzi dwóch drabów i najspokojniej zabiera wszystkie pieniądze i kosztowności. Bella śmieje się i wskazuje wszelkie skrytki. Moszennikow do rewolweru — niema! Musiał asystować w koszuli całej tej rewizji. Zabrano mu wszystko do ostatniej nitki, ale co najgorsza, *sautoir* księżnej, historyczny *sautoir*, który mu ona dała do zastawienia. Nasza biedna księżna!

Lizowska zaśmiała się perliście:

— Stary osioł, stary osioł! Niestety, nasza ukochana pani miała zawsze słabość do niego! Chodź, jedziemy czempredzej.

W salonie willi księżna z rozpuszczonemi włosami, z pianą na ustach, walila szpicrutą Moszennikowa, który klęczał i bił się w piersi:

— Moja wina, Wasza Wysokość, moja wielka wina.

— Gdzie mój *sautoir*, łotrze, niedołego, zbrodniarzu?

— Chciałem jaknajlepiej zastawić w pewnym miejscu

— W pewnym miejscu! Ty śmiesz jeszcze!

— Niech mnie Wasza Wysokość zabije!

— Co mi przyjdzie z twego życia? Powieś się sam! Ja chcę mego *sautoir'u*. Męża nie umiałeś mi wyszukać! Klejnoty mi zatraciłeś!

— Wasza Wysokość — szepnęła przymilnie Lizowska — zdrowie jej cenniejsze, niż wszystkie klejnoty na świecie...

— Moje... ale śpiewałabyś inaczej, gdyby szło o twoje! Historyczny *sautoir* po carach! Pięćset lat w rodzinie! Ach, laleczka, nareszcie! Ty mi pomożesz prawda?

— Ukłęknij — zaszeptała Lizowska i zręcznym pchnięciem rzuciła Zośkę na kolana.

— Wszystko, co tylko mogę, dla Jej Wysokości...

— Zawołajcie Nenetki, prędko. Ona ma jasnowi-

dzenia. Laleczka niech śpiewa, prędzej, czas nagli. Muszę mieć aeroplan. Ale skąd wziąć aeroplan? Królestwo za aeroplan. Ach, nie mogę rozdawać królestw. Czyż tak dużo? Czyż i to za dużo dla córki cesarzów? Ach, jakże nisko upadłam!

Zośka słuchała przerażona. Przyszło jej na myśl, że jej książęca wysokość straciła zmysły.

Weszła ryżowłosa Nenetka i autorytatywnie przemówiła:

— Niech Wasza Wysokość mi wierzy, będzie dobrze.

— Widziałas w kuli?

— Widziałam.

— Jabym także mogła... — szepnęła Lizowska.

— Cicho bądź. Nie wiedziałas, że Moszennikow głupstwo robi. Tyle warte te twoje transy. Nenetka niech mówi. Nenetka ma objawienia. Laleczka może śpiewać, bo jej śpiew ma moc magiczną.

— Nie, nie trzeba, przeszkadza mi tylko w skupieniu, oznajmiła stanowczo Nenetka. Wasza Książęca Mość musi zostać sam na sam ze mną.

— Chodźmy — szepnęła Lizowska, pociągając Zośkę do drugiego pokoju.

— Widzisz, opętała już księżnę, ale ja bardziej wierzę policji, niż kuli szklanej. Możemy wysadzić tę kukłę odrazu, jeżeli będziemy działały zgodnie.

— Cóż ja mogę?

— Wymóż na prezesie, by ci dał sztab policji

specjalnej i bodaj aeroplan, trzeba ich ścigać prędko i pocichu, zanim przejadą granicę.

— Gdzież ja zobaczę prezesa?

— O to się nie troszcz. Dziś jeszcze może być u ciebie. Byleś umiała rzecz poprowadzić, zwyciężymy. Zresztą, ma *chère*, czy to tak dużo? Córa cesarzów ma chyba prawo wymagać trochę względów specjalnych.

Bezwiednie przemawiała słowami księżnej. Oszukując ją i pozornie od niej niezależna, nie zdawała sobie sprawy, jak dalece patrzyła na wszystko jej oczyma.

Nad wieczorem przed mieszkaniem Zośki zjawił się samochód, prezes i bukiet.

— Nie umiem opowiedzieć pani, jak uszczęśliwiło mnie wezwanie pani hrabiny Lizowskiej. Może pojedziemy trochę za miasto? Okolice Warszawy nie są tak zajmujące oczywiście, jak rzymskie, ale o tej porze roku, przy świeżej zieleni, mają pewien *charme* sielski, który warto poznać.

Zośka, rozparta łaskawie w powozie pozwalała się zapoznawać z pejzażem polskim. Układała zdania, jakimi miała zapukać do wszechwładzy prezesa. Gdybyż chociaż nie był tak brzydki i pokraczny!

Ulice, któremi przejeżdżali, były ubogie, domki coraz niższe i brudniejsze. Za drewnianymi płota-

mi widniały stopy cegieł, skrzynie z wapnem, rozpoczęte roboty murarskie.

— Prędeż — przynaglał prezes. — Tu brzydko. Zaczynamy tu budować nową dzielnicę. Jestem w tem także. Za parę lat, jeśli pani raczy znów tu przyjechać, nie pozna tych miejsc: cała biedota i niechlujstwo zniknie, dokoła będą domki stylowe, wille.

— A dokąd wyniesie się ta biedota?

Wzruszył ramionami.

— Zapewne gdzieś dalej.

Wysunął ostrożnie rękę za plecami Zośki i niby opierając się na wałkach pojazdu, obejmował ją lekko. Zośka narazie wołała tego nie zauważyć.

— Pan nie ma współczucia dla biednych — rzekła i, rozglądając się po okolicy, zmieniła pozę, tak że ręka prezesa odleciała daleko.

— Pani ma złote serduszko.

— Zawsze pan mi mówi komplementy.

— To tylko szczere moje przekonanie.

Ręka prezesa znów odszukała ramiona Zośki z wyraźnym zamiarem nie pozwolenia już tak łatwo na ponowne wygnanie.

— Pani jest tak urocza, utalentowana. Marnuje się pani w dwóch pokoikach hotelowych.

— Występowałam w operze, ale...

— Ach, co tam opera. Pani mieć może o wiele donioślejsze, o wiele rozleglejsze zadania...

Wbił w nią wzrok pytający, a że nie odpychała go, mówił coraz bardziej rozmarzonym głosem:

— Pani mogłaby być królową w Paryżu... U nas, niestety, niema salonów literackich ani politycznych, ale czego niema, można stworzyć... Gdyby pani chciała, w tej pięknej rączce koncentrowałby się splot wszystkich nici, poruszających nasz świat...

— Chateaubriand i *madame* Récamier!

— Czemu nie? Czy pani myśli, że nie mogę być Chateaubriandem?

Kołyszący się nad wybojami samochód to zbliżał ich, to odrzucał, a za każdym zbliżeniem objęcia prezesa zdobywały nową piędź terenu. Zośka czuła się już zupełnie otoczona przez chude, artretyczne ramiona. „Taka pokraka. I co on z tem robi?”

— Wątpi pani o mych zdolnościach? Proszę powiedzieć. Zapewniam panią, że gdybym miał dla celów politycznych pomoc pięknej kobiety, umiałbym siebie i ją postawić na piedestale. Do wszystkich holdów, któreby stały się udziałem pani, dołączyłoby się moje wdzięczne i nigdy niesyte serce...

Zośka uczyniła ruch jakiś nieokreślony, mający zastępować równie nieokreśloną odpowiedź.

Oto znów staje mężczyzna, który wynurza jej miłość ze wszystkimi znanymi dalszemi ciągami. Spojrzała na niego: spotkała oczy z wlepionym w siebie znanym, ach, jak dobrze znanym, wyrazem. Ten chyba jest brzydszy nawet od pierwszego jej

impresarja. Drobną figurką drżała, jakby w torsjach jakiejś ciężkiej choroby. Spoczone ręce gniotły jej dłonie.

Przybrała wyniosłą minę artystki:

— Panie prezesie.

— Dla pani chciałbym być Stasiem... zawsze...

— Mam prośbę do pana...

— Proś o wszystko, czarodziejko.

— Księżna... to jest ja...

Wjechali w środek zbóż pełną drogą.

Kołyszące się wierzby ukazywały spodnią stronę liści o szaro srebrnym puchu. Zośka patrzyła na kępy drzew, znanych jej od pierwszego na świat spojrzenia: nie cyprysy, nie pinie, nie wawrzyny cudaczne. Wyliczała w duszy:

— Olchy, wiązy, graby, świerki. Ach i dęby! i dęby!

Ścieżyna zagłębiała się w kłosiste, chrzęstkie morze. Mietlice o rozwianych pióropuszcach, dzika wyiczka, jak oazy zieleni na złocistości dorodnej pszenicy. Piękne to pejzażowo, ale Zośka utylitarnemi oczyma wieśniaczki oceniała tylko szkody, jakie czyni to zbożu.

— Wsiądźmy! — zawołała.

— *Si vous le désirez* — odparł prezes trochę kwaśno.

Z trudem podążał za nią, sapiąc.

— *Ayez pitié de mes cinquante ans!* — wołał

skrzywiony z bólu, nie zapominając jednak o odjęciu sobie pewnej liczby lat.

Biegła jak oszalałe źrebię. Zboże! Zboże! Zapach ziemi, zapach kłosów, liści, trawy. Święte wonie, których nie czuła już od tyłu, tyłu lat! Znów jak za lat dziecinnych biją kłosy w twarz i śpiewają pieśni zwodnicze. Znów tam, za miedzą świat, inny świat nieznan, utopiony w morzu kłosów. Suche ziarna żyta osypują się już prawie. Obok zieleńsza od niego pszenica. A tam, ach Boże!

— Bławatki! Ach mój Boże, bławatki! — zawołała po polsku.

Rzuciła się i zaczęła rwać szafirowe kwiaty niepohamowanie, jak za owych czasów, kiedy pasła w rowie prosięta ciotczynie. Zapomniała o towarzyszu i rwała je pełnemi garściami, nie mogąc się nasycić.

Prezes patrzył zdumiony.

— Pani Polka? — rzekł z głębokiem rozczarowaniem.

Wydały mu się śmieszne i całkiem niepotrzebne dotychczasowe ceregiele. Co innego uwieść artystkę z Costanzi... W salonie politycznym królować może tylko cudzoziemka, córka Macchiavellich, która ma we krwi to coś...

Wracali poprzez objęte mrokiem płaszczyzny.

Na niebie siniały anteny telegrafu iskrowego, jak wiekuiście kuszący przyzyw dalekiego. Zośka

oparła głowę na poduszkach i z zamkniętymi oczami piła czyste powietrze. Wieś, o mój Boże, pola o zapachu zbóż, cisza drzew, bez fryzjerów, bez pudru i perfum...

Prezes nie mówił już o ubóstwie pejzażu mazowieckiego w porównaniu z rzymskim. Towarzyszka jego jest w każdym razie ładną dziewczyną. A więc...

Przysunął się i bez dalszych preludjów pocałował ją w usta.

— Ach! — krzyknęła Zośka.

— Daj! Nie odpychaj!

— Precz, poczwaro!

— Ach, więc pani nie tylko umie mówić, ale i wymyślać po polsku? A, ukarać! A, ukarać!

— Puścić!

— Czyż doprawdy jestem taki wstrętny?

Uderzyła go w twarz z całej siły i wyskoczyła z samochodu.

W tem miejscu była granica miasta. Linja domostw urywała się przy szczerem polu. Tu i owdzie, jak ostatnie macki miasta, widniały druty tramwajów. Rynsztoki pełne brudnej wody wbiegały między zagony kapusty i warzyw. Tuż za niemi kołysały się pod wiatrem łany zbóż jak niekończące się kobierce. Pośrodku nich sadowiły się kolonje podmiejskie, cegielnie o wysokich kominach, sady poszczerbione już tam i sam zachłannym ruchem bu-

dowlanym. W miarę jak wzrok oddalał się od miasta, rzedyły owe osiedla. Płaszczyzna obrzeżona dalekimi lasami, błękitna, sina, zdawała się nie mieć końca, pełna przymgleń, jak sen spokojny.

— A jednak jest dobrze na wsi...

Biegały dzieciaki bose, z gołą głową. Zośce zdawało się, że widzi siebie, gdy pasła prosiaki ciotczone. Ścieżyną ze zbóż wyszła młoda para: dziewczyna w pretensjonalnej sukni i młody robotnik, junacko patrzący dokoła. Ona! znów ona — z panem Stanisławem.

Przewijać się zaczęło przed nią całe jej dziwne życie.

Miss Massie, mrs Houghton, Assunta, inni, — wszystkie znikające cienie. Jak to rumieniła się wobec contessin we Florencji. Jak odczuwała w Rzymie przepaść między sobą a innymi. Publiczność tak prędko przywykła do jej głosu i nieruchomej urody... nie elektryzowała nikogo. Artystki o mniejszym głosie i zwykleszej urodzie, ale wyrafinowane dzieci miasta, umiały fascynować, przykuwać... Ona zawsze była tylko dzieckiem pól północnych, o powolnem myśleniu i szczerzej, nikomu niepotrzebnej uczciwości.

A potem, tu i tam, wobec Amerykanek, jak wobec księżnej, czuła się zawsze nie u siebie. Przepaść była pomiędzy nią, co rozpoczęła życie w rowie z prosiętami, a tym tłumem przecywilizowanych laleczek,

które od pierwszego na świecie kroku uświadamiano o potędze gestów, uśmiechów, ładnych póz i powłóczystych spojrzeń. Podejrzewała czasem jakiś wielki spisek przeciw sobie. Spisek ludzi innych. Nie lubiła myśleć. Znalazła sobie jakieś leniwe *statu quo* i trwała w niem z zatkanemi uszami i oczami. Nie chciała nawet pamiętać, że ma bliskich... to mogłoby przynieść ból... Byle nie myśleć, byle trwać w spokoju.

W życiu tak nie można. Życie nie daruje. Każdy musi odbyć swoją próbę czyśćca, przejść swą część bólu.

Młoda para minęła ją znowu. On dowodził czegoś, ona wzruszała ramionami, ale się uśmiechała zalotnie.

— Młodzi. Ja nie miałam młodości — stwierdziła zaraz z żalem. — Obcy wzięli i zniszczyli, ach, splugawili ten najcudniejszy kwiat życia. Czemże jestem teraz? Gdybym nawet chciała wrócić na wieś i pracować, nie umiałabym...

Rozejrzała się po mierzchnącej roli. Późno już. Trzeba wracać. Lizowska pewno czeka. Zwolna szła ku przystankowi tramwajowemu.

Z bocznej ulicy wyszła kobieta z koromysłami. Była ciężarna i ugiwała się pod wagą pełnych kibelków. Zośka patrzyła z trwogą: takby ona musiała pracować. Zbliżyła się i powiedziała:

— Może ja pomogę?

— Udźwignie pani? — odparła z powątpiewaniem kobieta.

— Dokąd?

— A ot, to tu, zaraz do piekarni, ale pani się powala. Zośka bez trudu dźwignęła kubelki i zanosła na wskazane miejsce.

— Potrafię! — zaśmiała się z radością, jak z odniesionego tryumfu. — Jeszcze potrafię!

W Bristolu Lizowska czekała na nią w gorączce. Z niecierpliwości porozrzucała wszystko na stole i fotografia państwa stolarstwa leżała na samym wierzchu, ale ani jedna, ani druga nie zwróciła na to uwagi.

— I cóż? I cóż? Mówże!

Zośka przegarniała frenzle sukni. Poczula się znów niewolnicą tych ludzi, ich rzeczą.

— Prezes rozczarował się do mnie.

— To już twoja wina — odparła chłodno Lizowska, — ale interesy księżnej nie mogą przecież cierpieć.

— Boję się niestety, że tak.

— Cóżes mu mówiła?

— Nic mu nie mówiłam, bo...

— Nic nie mówiłaś?...

— Ja doprawdy nie umiem! — rozplakała się Zośka. — Chciałabym wszystko zrobić dla Jej Wysokości, ale nie umiem, nie nadaję się...

— Co zaszło między wami?

— Pocałował mnie, a ja go huknęłam w twarz...

— I co dalej?

— Nie wiem, bo wyskoczyłam z samochodu i uciekłam.

— Moja droga, dziwny masz sposób pamiętania o sprawach naszej dobrodziejki.

— Nie mogę! Nie mogę! Taka poczwara. Wszystko wzdryga się we mnie, gdy mnie dotyka. Rzuć się do nóg księżnej, przeproszę, nie będzie żądała przecież...

— Nie będzie żądała, bo księżna o takich rzeczach wiedzieć nie może i nie powinna. Zadaniem naszym, jej wiernych sług, oddawać życie za nią. A ty, moja piękna, mogłabyś także pozbyć się fochów. Nie jesteś wychowana w klasztorze. Taka mała ofiara...

— Pani mi radzi taką ofiarę?...

— Nic nie radzę, moja piękna. Przypominam ci o obowiązkach dla naszej pani.

— Nie mogę poniewierać mej godności.

— Jeżeli ja mogę...

Lizowska podniosła wysoko głowę. Zośka także.

Mierzyły się wzrokiem. Na ustach każdej drżało wyzwanie, że „jedna nie równa drugiej“. Zośka pierwsza opuściła głowę przed hrabiną Lizowską, damą dworu, posiadaczką dóbr i orderów.

Lizowska odczuła to i nie dała za wygraną.

— Widzisz, *chérie* — rzekła ujmująco, gładząc Zo-

skę po rękach, — takie skrupuły, to dobre na dworze, ale nie dla nas, zwykłych śmiertelniczek. Wierzaj mi, starszej i doświadczonej. Przyjdiesz do mnie, otrzesz łzy, włożysz ładną sukienkę. Już ja w tem, że prezes ci przebaczy. Pocałuje cię po raz drugi, ty go tym razem nie uderzysz i wszystko pójdzie jak z płatka.

— Nie.

— Co nie?

— Nie uczynię tego.

— Odmawiasz?

— Odmawiam.

— Po tem wszystkim, com ci mówiła?

— Tak.

— A wiesz, wiedziałam, żeś gęś, *passons le mot*, ale że taka, ale że taka...

Twarc Lizowskiej skurczyła się złością i słowa wypadły z ust ze świstem.

— Ty chyba, moja piękna, nie widzisz, co się dzieje. Nie widzisz, czy nie rozumiesz, nie wiem, jak to nazwać doprawdy. Chciałam ci pomóc, ale to doprawdy... *Adieu...*

Wyszła, prawie nie kiwnąwszy jej głową. Zośka przez chwilę, starym nałogiem, uczuła się sterroryzowana. Już miała biec za hrabiną. Zadała sobie pytanie:

— Mogę? Nie... A więc.

Została.

Napróżno przez pare dni wyczekiwała telefonu od księżnej. Nikt jej nie wzywał.

Nie, to nie.

Dojrzewały w niej jakieś plany gorączkowe. Pakowała i rozpakowywała rzeczy. To znów nadsluchiwała: czy jakieś kroki na kurytarzu nie przerwą ciszy. Nikt nie przychodził. Tylko Józiek przysłał jej kwiaty i meldował się pare razy, ale jego właśnie nie miała ochoty przyjąć.

Pewnej nocy śnił jej się, po raz pierwszy, umarły ojciec. Stał, jak go pamiętała, w kożuchu przy pracy i dawał jej jakieś rady czy rozkazy. Nie wiedziała, co mówił, ale dziwnie jasno od tego robiło się w jej sercu. Obudziła się z oczyma łez pełnemi i lekką duszą.

Tego dnia po obiedzie przyszedł Moszennikow.

Stary wyga pocałował ją w rękę i prowadził zwykłą na pozór rozmowę. Podnosił jednak brwi do góry, coś ważył w myślach, wreszcie ostrożnie, półgębkiem, jakby szkła dotykał, rzekł:

— Czy pani nic nie zauważyła w postępowaniu J. K. Mości?

— Zauważyłam, że księżna mniej mnie teraz potrzebuje.

— Może się pani zdaje?

— Och, nie. (Odwróciła się, aby nie dojrzał jakiejś głupiej łzy).

— A... nie wie pani — sączył dworak, obracając

sygnet na palcu, — co mogło być przyczyną takiej zmiany?

Zośka wzruszyła ramionami.

— Pan chyba lepiej musi wiedzieć.

— Ja? Skądże? Mnie zupełnie wyrugowała Lizowska. Ale J. Ks. Mość nie jest zwykle taka. Miewa chwile złego i dobrego humoru, potrafi traktować ludzi jak psy, od tego jest przecież córą cesarzy, ale chłodu, polityki w niej niema...

Zośka rozłożyła ręce.

— Czy pani jedzie z księżną?

— Dokąd?

— To pani nic nie wie? Masz tobie, wygadałem się!

Znała go za dobrze, by uwierzyć, że mógłby powiedzieć coś, czego nie chce. Bez ogródek natarła:

— Mów pan co wiesz? Ja nigdy do żadnych intryg nie należałam i nie znam się na dyplomacji.

Stary dworak wahał się jeszcze, ale widok szafirowych oczu, do których i on czuł niejaką słabość, rozbroił go ostatecznie.

— Co tu w bawelnę obwijać: Księżna wyjeżdża zagranicę, ma dość Warszawy. Towarzyszy jej kilka osób tylko. Lizowska, oczywiście ją, owa ryza Nenette, którą jej Lizowska podsunęła, parę pokojówek, ot i wszystko. Ach, ta Lizowska! ta Lizowska! Arcy żmija! podstawiała pani stolki u księżnej, tak długo, aż i podstawiła!

— Cóżem ja jej przeszkadzała?

— Księżna panią strasznie lubiła, był czas, że strasznie lubiła... Lizowska bała się o siebie...

Zośka odwróciła się do okna.

— Księżna wyjeżdża... — szepnęła. — Nie zobaczę jej pewno już nigdy...

— Eh, tak nie można mówić. Może Jej Wysokości przyjdzie znowu kaprys i wezwie panią, tak jak wtedy z Rzymu... Jeżeli Lizowska nie przeszkodzi...

— Czemu Lizowska tak się zawzięła na mnie!

— Pani była dla niej niewdzięczna. Zapoznała panią z prezesem, spodziewała się Bóg wie czego...

— Czego mogła się spodziewać?

— Że pani będzie zręczniejsza. No, mówmy otwarcie, Lizowska poluje na tajemnice wojskowe, miała nadzieję, że pani wydobędzie wszystko od prezesa. Pani podobno nawet nie zrozumiała, czy nie chciała zrozumieć jej propozycję. Teraz ona już pani nie potrzebuje i usuwa z drogi...

Moszennikow powstał i pozornie chciał się już pożegnać, ale z miny jego poznała Zośka, że misja jego jeszcze nieskończona.

— Eh — rzekł z doskonale graną dobroduszością — żal mi pani! pani taka przywiązana do Jej Wysokości. Co tam! zaryzykuję. Zaryzykuję dla pani całą moją pozycję i karierę. Wprowadzę panią potajemnie do księżnej, przed samym odjazdem. Jak panią zobaczy, rozczuli się, ręcze! Ona

panią tak lubiła, tak strasznie lubiła! Ale trzeba coś przyrzec! Dać słowo honoru!

— Co takiego?

— Że po odzyskaniu łask księżnej, wysadzi pani Lizowską i mnie na jej miejsce wprowadzi.

Wyciągnął rękę na zgodę. Z niesłychanem zdumieniem zobaczył, że Zośka stoi nieruchomo i wie-dzie głową przecząco.

— Co? Nie chce pani?

— Nie...

— Czy pani jest przy zdrowych zmysłach? Prze-praszam, ale nie mogę zrozumieć... Pani może od-zyskać łaski księżnej. Ł a s k i k s i ę ż n e j! Wie pani, co to znaczy? Jak to się wyraża choćby w cyfrach, nie mówiąc już o innym?

— Ja... wyjeżdżam. Wyjeżdżam... na długo. Nie mogłabym...

Wybiegła do sypialni. Po raz pierwszy od długich, długich lat płakała jak dziecko. Rozumie się, że księżna jest księżna, wielka pani... ale żeby tak, bez jednego słowa. Zabawce, pieskowi, należałoby się słowo pożegnania.

Płakała bardzo długo, aż wyczerpana upadła na poduszki.

Spojrzała w lustro. Pięknie wygląda! Oczy za-puchnięte, nos czerwony... Księżna śmiechem by parsknęła, gdyby się jej ukazała w takim przybiorze sentymentalizmu...

Zwlokła się, odruchowo poszła do Mańki.

Zawszeć to siostra. Jedyna jej rodzina. Może zrozumie, a jeśli nie zrozumie, to się choć uzali... Nie obgada, nie wysmieje...

Mieszkanie Mańki zamknięte było na kłódkę. Stała, nie wiedząc, co robić. Po schodach z góry zbiegł szybko usmolony ślusarczyk. Zdjął czapkę i rumieniąc się, powiedział:

— Bratowa wyszła, ale pewno niezadługo wróci. Gdyby pani była łaskawa poczekać u mnie, tylko, że to wysoko, czwarte piętro.

Przystąpiła, byle nie być sama.

Wprowadził ją do małego pokoiku na facjacie, z pułapem, opuszczającym się do połowy. Przyniósł stół.

— Może pani usiądzie.

Zoska wiodła leniwo oczami dokoła. Łóžeczko polowe, zielony kuferek i przy oknie stolik z porozkładanymi książkami. Nic więcej. Dziwna cisza i dziwny porządek. Ani źdźbła śmiecia.

— Czyściutko tu u pana.

— Staram się, proszę łaski pani, nie robić nieporządku. Zawsze milej, jak czysto w pokoju.

Stał, mnąc czapkę w palcach, jak żołnierz przed oficerem. Aby znaleźć jakiś temat rozmowy, zapytała:

— I cóż słyhać u pana?

Oblał ją jasnym spojrzeniem:

— Robię...

Poczuła w tem jednym słowie moc szczęścia.

— Cieszy się pan?

— Jakżeby nie, proszę pani?

(Józiek także mówił: „praca to wielka rzecz, *you know*“).

Wyrywały mu się jak ptaki słowa radosne, któremi nie mógł nie podzielić się z tą obcą, choć go tak onieśmielała:

— Brat wrobił mnie do Górskiego. Teraz już pójdzie łatwo. Jeszcze mam rok. Jak się wyzwolę, może pojedę do Francji, zobaczyć trochę świata. A może i w kraju zostanę, jeszcze sam nie wiem. Tyle czasu jeszcze: cały rok.

Słuchała coraz żywiej płynącej opowieści młodszej.

— A kto się tu uczy?

— To ja... — odparł na nowo zawstydzony. — Uczę się wieczorami, jak mogę, choć ciężko po robocie, oczy się kleją, ale przecież trzeba coś umieć, żeby nie być jak tabaka w rogu na świecie.

— Nie boi się pan wyjechać w świat?

— E, czego, proszę pani? Zawsze jakaś praca się znajdzie, lepsza czy gorsza, a że się tam czasem przegłoduje, to też nic strasznego.

Z dołu krzyknęto:

— Władek, idziesz?

— Idę, idę. To proszę, łaski pani, kolega, co ze

mną chodzi na lekcje. Mańka pewno lada chwila nadejdzie, zobaczy ją pani stąd.

Pobiegł, pogwizdując wesoło.

Zośka została sama.

Ze znużeniem oparła głowę na rękach.

Z otworzonej przed nią książki wyzierały wyrazy: „Prawo Boyle-Mariotte'a. Ciśnienie gazów pozostaje w stosunku odwrotnym do objętości“... Przez otwarte okno wbiegały ze wszystkich stron odgłosy pracy. Huczały młoty, ryczały syreny, turkotały wozy ładowne. Nikt tu nie myślał o sobie. Wytężone siły, napięcie mięśni szło w kierunku tworzenia czegoś, dla innych.

Miljony szarych ludzi ciągną taczkę. Nie widzi się tego, co robią, ale to oni stwarzają wartości. Mężczyźni o zgrubiałych dłoniach, kobiety pochylone nad maszynami.

Wobec tego potężnego hymnu wszystkie żale nad sobą odsunęły się gdzieś na plan niesłychanie daleki.

— Czyż w głębi duszy nie jestem zawsze Zośką z Osin?

Obłuda... Pierwszy raz Zośka spogląda na wszystkie swoje sprawy innym okiem. Zdaje jej się, że zajrzała z innej strony. Od strony tych, którym nic nie wolno.

Decyzja powstaje w niej. Mierzy chłodnym okiem to, co rzuca i nie żałuje. Jakby błogosławił jej ktoś.

Jakby błogosławieństwo umarłego ojca przekazuje jej święte brzemie całego swego życia: pracę...

W niedzielę znów zjawił się Józiek.

Miał inny garnitur, inny zegarek, ale ten sam uśmiech szeroki.

— *Well*, Zośka, pojedziem na spacer? Kupiłem samochód, stoi przed hotelem. A potem jazda do Mańki.

Za samochód podziękowała. Wyjeżdżała się już w życiu, dość ma jazdy. Ale do Mańki i owszem.

U stolarstwa panowała radość świąteczna. Dzieciaki poubierane w nowe sukienki dokazywały, szwagier częstował kolejką. Byli i dwaj jego koledzy. Rozkrochmalono się. Już nie mówiono sobie: bratowa, siostra. Ty i już: przecieżeśmy rodzina! Mańka przypominała tysiączne szczegóły z czasów dzieciństwa.

— A pana Stanisława pamiętasz?

— Pamiętam. Co się z nim dzieje?

— Zesłali go na Syberję, potem zwiął, służył w legionach. Teraz ma grunt na kresach, podobno dobrze mu się dzieje.

— Ożenił się?

— Doprawdy, że nie wiem. Mówili mi coś o nim, ale nie pamiętam, Zośka, a ty dużo kapitału zebrałaś?

— Nic.

— Jakto nic?

Szwagier aż się podniósł z wrażenia.

— Tyli świat, takie elegancje... i nic? A klejnoty? A suknie?

— Tyle co tych łańców i świecideł. Więcej nie mam nic.

— I to majątek. Żebyś chciała sprzedać i pospekulować, doszłabyś ładnego grosza. Ilu ja znałem, co z mniejszem zaczynali, a teraz powozami się rozbijają.

Zośka powiodła przecząco głową.

Ma swój plan. Inny.

— Co będziesz robiła? Wstąpisz do teatru?

— Nie...

— Za mąż wyjdzie! — zawołał domyślny Józiek. — Pewno masz tam kogoś. Że też ja zaraz o tem nie pomyślałem. Taka ładna kobita.

Zośka śmiała się i śmiała.

— Nigdybyście nie zgadli.

Wreszcie, lubując się już naprzód ich zdumieniem, rzekła:

— A ot, wiecie, wrócę do Osin.

— Do Osin? Do kogo? Po co?

Józiek zerwał się nagle.

— Do mnie! Mówiłem jej, że kupiłem Osiny. Namysłiłaś się Zocha, co, Zocha? Nie pożałujesz!

Mańce aż się oczy zaświeciły:

— Idziesz za Józka? Masz rozum. Bodaj to: tylko co przyjechała i zaraz sobie galantego męża złapała.

Zośka zaprzeczyła ruchem głowy:

— Nie. Nie wyjdę za Jóźka.

— Dlaczego? Dlaczego?

— Bo tak.

Sprytna Mańka wzięła ją na stronę.

— Bo ty masz może jakie szkrupuły. Głupstwo, śmiej się z tego, mówię ci! Patrz na mnie, co mi to, źle?... Byle pary z gęby nie puścić. Można potem zawsze ułożyć, nawet jakby był dzieciak tam gdzie...

Zośka zaprzeczyła domysłom siostrzanym.

— Niema nigdzie żadnego dzieciaka... ale nie chcę. Nie chcę i już.

— Bzika ma, jak mi Bóg miły. I co ty będziesz robiła?

— Będę pracowała.

— Co? Co ty gadasz? Jak?

— Tak jak dawniej. Cóż to, nie pracowałam do lat szesnastu?

Mańka powiodła powątpiewająco głową.

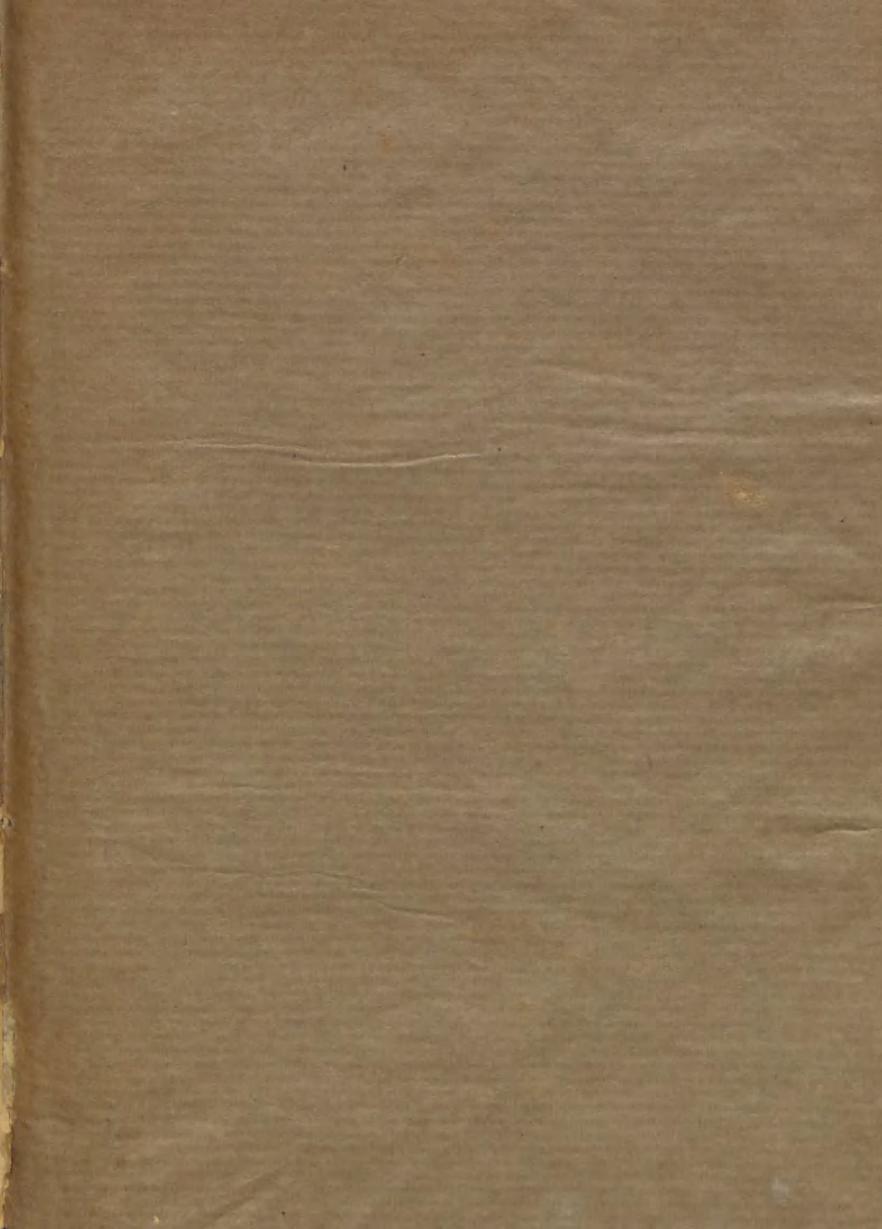
— Tak ci się zdaje. Nie te czasy i ty już nie ta. Nie będziesz miała siły, nie będziesz umiała.

Zośka przypomniała sobie kobietę z przed paru tygodni, której pomagała nieść wodę:

— Nie będę umiała? Nie będę miała siły? Oho, zobaczymy! — zawołała tryumfująco.

K O N I E C.





Książnica Zamojska



10184580

ul. Kamienna 20

22 - 400 Zamość



9-2
72